Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 14 maja 1950 r. | Nr 7 Rok I

Biblioteka Wyższej Szkoły Nauk Społecznych SOPOT

LUCJAN RUDNICKI

Nauka z ludem w walce o pokój i kulturę

Przygotowania do zbrojnej napaści na wolność i kulturę innych narodów imperialiści rozpoczynają od pogłębienia ucisku i wyzysku we własnym państwie. Popatrzcie na Amerykę:

Nadzwyczajne jury, z generałem Eisenhowerem na czele, przyznało sędziemu Medinie „Nagrodę wolności" za to, że skazał na więzienie działaczy komunistycznych i adwokatów, którzy ich bronili.

Sędzia Harris chcąc sobie zasłużyć na większe uznanie, pobił rekord w stosowaniu amerykańskiej imperialistycznej sprawiedliwości. Skazał na pięć lat więzienia nie tylko Bridgesa, działacza związków zawodowych, lecz i świadków jego obrony.

Oto obraz wolności w państwie, którego rząd przygotowuje nową zbrodnię wojenną i narzuca się ze zwierzchnictwem całemu światu: u siebie absolutna władza pały gumowej, więzienia i bezprzykładny w nich terror, na zewnątrz — bomba atomowa mająca torować drogę do zupełnego niewolnictwa w świecie.

Znamy pierwowzór takiego porządku, przeżywaliśmy go w ciągu pięciu lat. Naśladowca — w przekonaniu, że rozporządza większą siłą — propaguje z cyniczną otwartością większą zbrodnię i gdyby go nie powstrzymano w szaleństwie, pchnąłby ludzkość w katastrofę, choć runąłby nędzniej niż hitlerowcy.

Postępowy pisarz amerykański H. Meier w książce pod tytułem: „Czy musimy zginąć. Logika barbarzyństwa XX wieku", wydanej w Nowym Jorku w roku 1949, mówi:

„Nad Ameryką zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo powtórzenia drogi przebytej przez Niemcy. I więcej jeszcze, gdyż kogokolwiek chcielibyśmy zniszczyć, nagromadzone przez nas bomby atomowe w rzeczywistości zniszczą nas samych".

Wszystko postępowe w Ameryce i w innych państwach kapitalistycznych, a przede wszystkim lud pracujący nie chce aby wysiłek jego szedł na wymyślanie coraz to nowych rodzajów bomb i superbomb.

Osiemset milionów ludności państw budujących socjalizm na olbrzymim terenie dwóch części świata nie przedzielonych morzami, ze Związkiem Radzieckim na czele, nie pozwoli sobie narzucić dyktatu przez gangsterów z Wall-Streetu.

Osiemset milionów obywateli popieranych aktywnie w swojej walce przez robotników i chłopów wszystkich państw kapitalistycznych, budując bezklasowy ustrój społeczny, znosząc wyzysk człowieka przez człowieka, przyczynę wszelkich wojen — buduje jednocześnie pokój. To nie czasowa taktyka, to nie pokojowy rozejm kapitalistyczny, podczas którego kontrahenci starają się prześcigać wzajemnie w przygotowywaniu środków zniszczenia.

Do wolności społecznej i do pokoju dąży ogromna większość ludu państw kapitalistycznych. Gdyby nawet pewną część tego ludu mogli imperialiści zapędzić do swego obozu militarnego terrorem, to nie można terrorem wzbudzić zapału niezbędnego do zwycięskiej walki. Nikt jeszcze nie przejawiał entuzjazmu w walce o kajdany dla siebie.

Lud pracujący, najwybitniejsi artyści i uczeni całego świata pracują twórczo dla pomnożenia ogólnego dobrobytu, dla wzbogacenia kultury powszechnej.

W Związku Radzieckim i w państwach demokracji ludowej wszystkie dziedziny nauki i wiedzy ludzkiej ogniskują się przede wszystkim do walki z przyrodą w celu podniesienia dobrobytu — anglosascy imperialiści chcieliby nawet wiedzę zmonopolizować i uczynić z niej narzędzie terroru, szantażu, ucisku i zniszczenia.

Gdy małżonkowie Curie, pracując w warunkach wyrobników, odkryli rad, co otwarło szeroko drogę do badań atomowych, zjawili się u nich przedstawiciele amerykańskich kapitalistów, proponując kupno wielkiego odkrycia za miliony dolarów.

Piotr Curie i Maria Skłodowska odrzucili propozycję, oświadczając, że nie chcą robić tajemnicy z odkrycia i w myśl wielkich tradycji naukowych oddają je bezinteresownie całej ludzkości.

Imperialiści amerykańscy otrzymali rezultaty kilkuletnich badań za darmo, mieli czas i środki na ich wykorzystanie i pewni rzekomej przewagi technicznej, w bezczelnej zarozumiałości zażądali cynicznie uznania swej kapitalistycznej hegemonii nad światem. I kiedy sztuczna mgła szantażu zaczęła się wydawać ludziom krótkowzrocznym chmurą piorunobrzemienną — w ZSRR wprzęgnięto energię atomową do służby w wielkim dziele przeobrażenia przyrody, a drugie pokolenie rodziny Curie-Skłodowskich, małżonkowie Joliot-Curie ze swej strony zakomunikowali światu, że tajemnica wykorzystania energii atomowej nie istnieje. Stos atomowy został uruchomiony na pożytek całej ludzkości.

Światło nauki rozwiało mgłę szantażu. Stało się jasne nawet dla ślepych, że dążności ludzkiej do postępu, pokoju i kultury żadna siła nie powstrzyma, a tymbardziej siła urojona imperialistycznych kanciarzy.

Obecnie w całym świecie działają Komitety Obrony Pokoju, komitety walki o pokój. Wśród tych, którzy stanęli na ich czele, znajduje się właśnie znakomity uczony profesor Fryderyk Joliot-Curie, i nie grozi, lecz zdecydowany jest walczyć wszelkimi siłami o utrzymanie pokoju.

Okazało się jednak, że biały gołąb w rękach uczonego, symbolizujący sztandar pokoju całej ludzkości, przy którym gromadzą się i zgromadzą miliardy ludzi, jest groźniejszy dla imperialistów niż bomba. Profesora Joliot-Curie tolerowano, co prawda ze zgrzytaniem zębów, w laboratorium fizycznym, lecz gdy stanął razem z ludem francuskim i z nami wszystkimi do walki o pokój, stał się dla ludożerców już nie bombą lecz groźną superbombą. Francuscy lokaje Wall-Streetu odebrali mu stanowisko Wysokiego Komisarza do spraw energii atomowej we Francji.

Uczony światowej sławy, laureat nagrody Nobla, profesor Joliot-Curie stał się dla podżegaczy wojennych groźnie niebezpieczny. Nie mogli znieść, że ktoś ze znajomością rzeczy patrzy im na ręce.

Profesor Joliot-Curie stał się sztandarem rzeczywistych uczonych, stał się światowym przykładem uczciwości społecznej i bohaterstwa naukowego.

Postawa małżonków Curie-Skłodowskich i Joliot-Curie to jeszcze jeden wyłom w kapitalistycznej twierdzy. Prawdziwej, rzetelnej nauki nie kupi się hurtowo złotem. Prawdziwa nauka — podobnie jak prawdziwa sztuka — ruszyła z miliardową masą twórczego ludu po pokój i kulturę.

Lucjan Rudnicki.

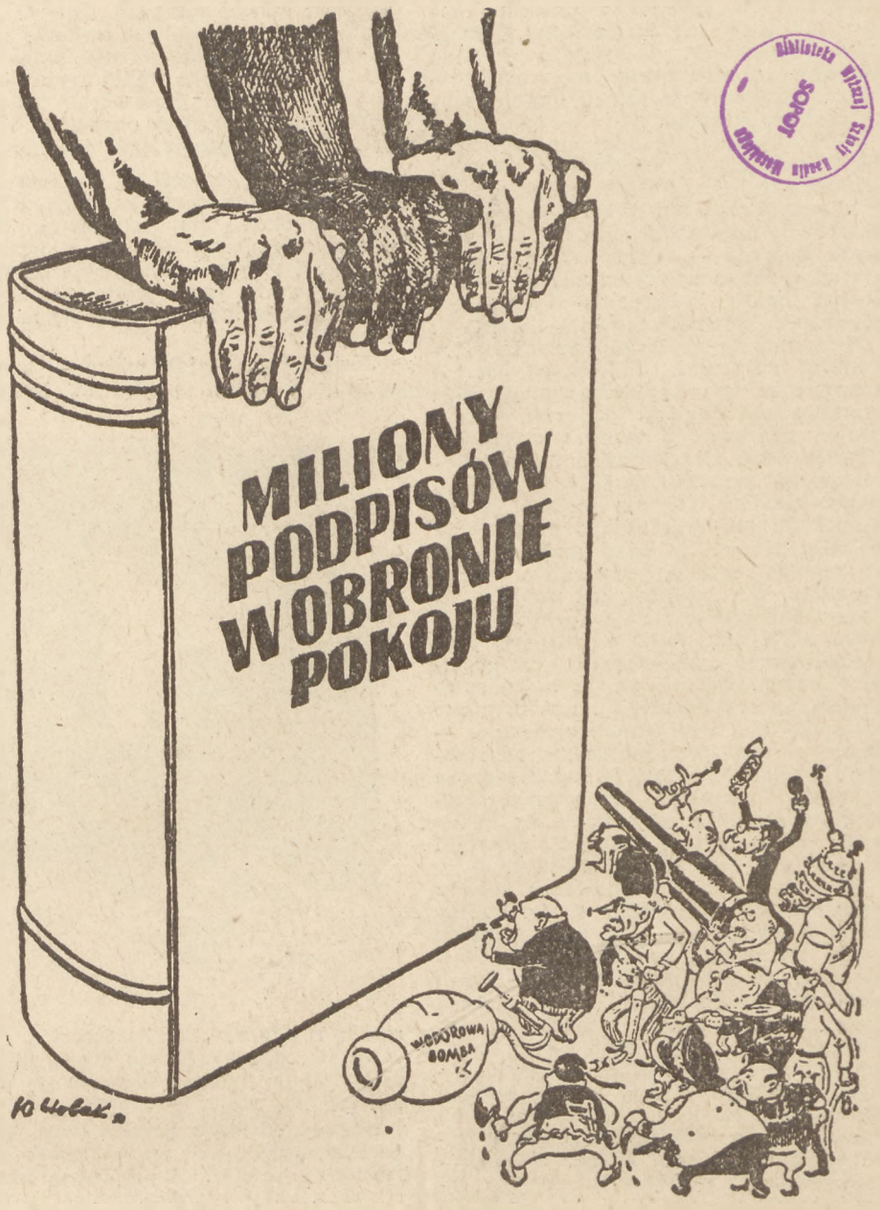

(Rys. J. Nowak).

(Z czasopisma „O trwały pokój, o demokrację ludową")

ROMAN KARST

Nikogo nie zabraknie

Pamiętam słowa Churchilla wypowiedziane przed dwoma laty: „Od czasu gdy Ameryka posiada bombę atomową, Zachód może spać spokojnie". Spokojny sen Churchilla i jego „Zachodu" nie trwał długo. Kiedy prezydent Truman musiał oznajmić — tym razem już bez uśmiechu — że Zw. Radziecki posiada tajemnicę bomby atomowej, wśród zbrodniarzy wojennych zapanował popłoch. Odtąd cierpią na bezsenność, rozmyślając po nocach nad środkami uśmiercania dzieci w kołyskach i modlących się staruszek.

Czyżby kataklizm, o którym marzą obrońcy „Zachodu", był nieunikniony? Czy miliony ludzi zajętych pokojową pracą codzienną będą czekały spokojnie własnej zagłady, czyż matki zrezygnują dobrowolnie ze szczęścia i bezpieczeństwa swoich dzieci, czy ojcowie zgodzą się patrzeć spokojnie na śmierć swoich synów? Zespół narodów miłujących pokój, robotnicy wszystkich krajów, uczciwi intelektualiści i wszyscy ludzie dobrej woli nie pozostali dłużni odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź pada codziennie w dokach Antwerpii, w portach Cherbourga, Marsylii, Amsterdamu i Hamburga, w lasach Vietnamu, na placach Londynu i Brukseli, na transparentach Moskwy, Pekinu, Warszawy, Pragi i Budapesztu. Odpowiedź spokojna, pewna i stanowcza: nie chcemy wojny i nie dopuścimy do niej.

Kim są zwolennicy pokoju i na kogo liczy obóz wojny? Pod sztandarem pokoju kroczą setki milionów ludzi, którzy reprezentują wszystkie rasy, narodowości, przekonania, wyznania i kościoły. Podżegacze wojenni mogą liczyć tylko na szczupłą garść wyzyskiwaczy i jej świtę, na otumanionych przez nią bankrutów i czcicieli złotego cielca. Obozowi pokoju przewodzi kraj zwycięskiego humanizmu, związek socjalistycznych narodów zbratanych w potężnym Państwie Rad; w obozie pokoju idzie 400-milionowy naród chiński, państwa demokracji ludowej, Niemiecka Republika Demokratyczna, rewolucyjna klasa robotnicza Francji, Włoch, Holandii, Belgii, ludy Vietnamu i Indonezji. Przeciw obozowi pokoju stoją rządy kapitalistyczne skłócone ze swymi narodami, obce im i znienawidzone przez nie. Dlatego szeregi obrońców pokoju kroczą pewnie i zwycięsko. Dlatego wśród kandydatów na zbrodniarzy wojennych panuje popłoch i niepokój. Naszą bronią jest wola milionów, ich — szantaż i bezsilna groźba.

Obóz pokoju szczyci się wszystkim, co najlepsze w przeszłości i teraźniejszości. Za faszyzmem wlecze się korowód upiorów od Torquemady do Himmlera, od Gobineau poprzez Nietzschego do Rosenberga. Bojownikom pokoju, walczącym o zwycięstwo humanizmu patronują cienie koryfeuszy myśli ludzkiej wszystkich epok. A żywi? Do rozmiarów intelektualnej i moralnej wielkości imperializmu urósł Skorzenny, faszysta i przestępca, którego pamiętniki drukuje literacki organ francuskiej prawicy „Figaro", czy też wiceprezydent bizońskiej Akademii Literatury Frank Thiess, piszący w swoim „dziele" pod tytułem „Geistige Revolution": „Co się tyczy wojny, to jest ona jednym z owych pełnych głębokiego sensu środków, które ścielą pomosty między narodami..." Wojny ścielą pomiędzy narodami pomosty trupów, wśród których żerują Thiessowie i Skorzeni, oszuści w rodzaju Krawczenki i awanturnicy literaccy gatunku Sartre'a. Z tym „renesansem" kulturalnym idzie w parze polityczne zbawienie Europy, które mają przynieść zgodnie z planem amerykańskich imperialistów Leopold III i Bandera, Guderian i Anders.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że faszyzm oczyszcza przedpole i usuwa niewygodnych ludzi, którzy krzyżują mu plany wojenne. Stąd represje przeciwko znakomitemu uczonemu prof. Joliot-Curie, którego usuwa się ze stanowiska Wysokiego Komisarza do spraw energii atomowej we Francji; dlatego Tomasz Mann i Einstein figurują na czarnej liście wywiadu amerykańskiego, stąd represje przeciw znakomitemu uczonemu angielskiemu Haldane'owi, dlatego Pablo Neruda musiał uciekać z ojczyzny, dlatego Varela został wtrącony do więzienia a Nazim Hikmet dogorywa w ciemnej celi. Imperializm nie przebiera w środkach, byleby osiągnąć swój cel: wojnę. Nie gardzi zdradą, zbrodnią, uciskiem i kłamstwem. I jedno jest pewne: tak jak dotąd w dwudziestym wieku — zbrodnicze zamiary imperializmu skończą się haniebnym krachem.

Walka o pokój weszła w nową fazę. W demokratycznych i miłujących pokój państwach akcja antywojenna przeradza się w potężną manifestację, w swej sile i stanowczości groźną dla wojennych awanturników. W krajach kapitalistycznych przybiera charakter zaciętej walki ze zmarshallizowanymi, zdradzieckimi rządami, walki, której chorążymi są masy pracujące i postępowa inteligencja. We wszystkich krajach zwolennicy pokoju skupiają się wokół Narodowych Komitetów Pokoju. Obrady Stałego Komitetu Światowego Kongresu Pokoju w Sztokholmie potępiły broń atomową jako broń masowego zniszczenia i uznały rząd, któryby pierwszy użył tej broni — za rząd zbrodniczy. Ta uchwała wyrażająca wolę narodów musi być przez nie wyraźnie poparta. We wszystkich krajach już się zaczęła zbiórka podpisów solidaryzujących się z rezolucją sztokholmską. Ilość tych podpisów staje się groźnym ostrzeżeniem dla ryzykantów wojennych. Bo nie są to czcze deklaracje papierowego pacyfizmu.

Wkrótce do każdego domu polskiego zawita zwiastunka pokoju, biała kartka, na której każdy z nas złoży podpis potępiający wojnę. W tej sprawie jesteśmy wszyscy zgodni. Naród polski, któremu wojna zabrała sześć milionów ludzi, któremu zniszczyła dziesiątki miast i tysiące pamiętników kultury, nie chce nowej rzezi. Jesteśmy zajęci pracą nad odbudową naszego kraju i naszej kultury, budujemy nowy ustrój sprawiedliwości społecznej. Nie chcemy i nie pozwolimy, aby nam w tej pracy ktokolwiek przeszkadzał. Taka jest wspólna wola partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących, taka jest wola polskich matek i ojców, starców i młodego pokolenia.

Walka o pokój trwa. W szeregach obrońców pokoju nie zabraknie nikogo.

Roman Karst

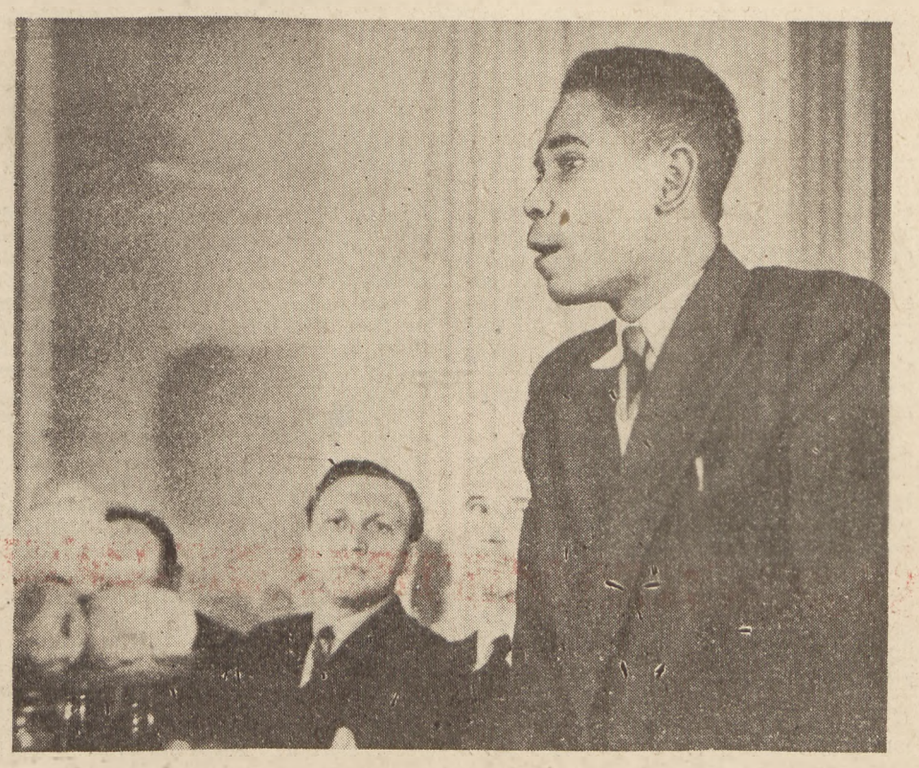

Przedstawiciel Afrykańskiego Zjednoczenia Demokratycznego Antoine Darlan przemawia na sesji radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju

JERZY KORCZAK

ilustrował ZBIGNIEW TYMOSZEWSKI

TRZY SPOTKANIA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

Ta noc była taka sama, jak prawie wszystkie inne tego lata w P. Parna, ciemnogranatowa, przetkana złotym deseniem gwiazd. Od pobliskiej cukrowni wiał mdławy powiew melassy, zmieszany z przepojonym zapachem kwiatów wiatrem od pól. Gdy pomarańczowa rakieta kołysząc się w powietrzu, ze świszczącym triumfem rozerwała nocną ciszę, kompania w pełnym rynsztunku bojowym biegła już w kierunku podłużnych budynków. Dochodziło stamtąd warkliwe ujadanie karabinu maszynowego. Przysłany ze sztabu łącznik, tłumaczył mi w biegu:

— To było najzupełniej niespodziewane. Wdarli się od kotłowni i podpalili boczny magazyn. Potem przejechali się z automatów po strażnikach. Wybili ich prawie do nogi. Ostał się z życiem tylko stary Bulenda — schował się pod jakąś stertą, a potem nas zaalarmował. — Tyle ton cukru zniszczyli — lamentował płaczliwie. Ile pracy ludzkiej, ile trudu...

Wbiegłem ze swoim plutonem na dziedziniec cukrowni. Zajęliśmy pozycje obronne za ustawionymi w wysokich warstwach, okrągłymi belkami. Drugi pluton wtargnął do wnętrza magazynu. Trwała ostra strzelanina z broni automatycznej i krótkiej. Pojedyńczy maszynowy karabin natrętnie klekotał gdzieś w pobliżu jak pręt szybko przesuwany po sztachetach. Na dany przez dowódcę kompanii sygnał, poderwałem oddział do ataku. W chwili, gdy jak tropione zające wskakiwaliśmy do wypełnionej dymem olbrzymiej hali, wartownicy prowadzili przed sobą grupę ujętych członków bandy. Odruchowo, w biegu spojrzałem na ich twarze. I... nie, to mimo wszystko nie było jednak złudzenie. — Wśród nich w potarganym „battle-dressie", z zasmoloną twarzą i przewiązaną ręką szedł „Hrabia". Przetarłem przesłonięte niewiarą oczy. Po kilku minutach, już w trakcie zaciętej potyczki wróciła świadomość tego widoku.

W godzinę po zlikwidowaniu napadu zgłosiłem się do dowódcy warty. Poprosiłem o wydanie mi na przesłuchanie jeńca. Po wielu wyśrubowanych formalnościach otrzymałem zgodę i dwóch wartowników do eskorty. W parę chwil potem szliśmy szarą, zapyloną drogą. Księżyc oświetlał ją jasno swym nadgryzionym kręgiem. Z poza oparkaniomych zagród wychylały się ząbkowane tarcze słoneczników, połyskując niby miedź. Na skrzyżowaniu huśtała się zawieszona na drutach lampa. W tańczącym jej blasku wszystko dokoła jak gdyby kołysało się sennie. Z oddali dochodziły jękliwe gwizdy i prychanie, które stopniowo zamieniały się w skrzypliwy, śpiewny ślizgot: jechał pociąg.

„Hrabia" milcząc szedł obok, ścinając zębami twardy, wyjęty z kieszeni kawał chleba. Jadł łapczywie, głusząc mlaskaniem odgłosy naszych kroków.

— Potwornie jestem głodny — wymówił usprawiedliwiająco. — Daleko jeszcze?

Wskazałem głową niski, drewniany domek.

Byliśmy na miejscu. „Hrabia" usiadł na czymś co nazywałem łóżkiem, a co w rzeczywistości było ciasno wbitym pomiędzy dwie deski, dziurawym siennikiem.

— Czy nie mógłbyś się postarać, aby to jak najkrócej trwało? — zapytał. — Nie chcę dostać się w ręce waszych sędziów, prokuratorów i tego wszystkiego co nazywacie ludową sprawiedliwością. Załatwcie to we własnym zakresie. Nie zdążyłem sam sobie kropnąć w łeb. Zawsze miałem spóźnioną reakcję, zawsze byłem niezdecydowany, — uśmiechnął się z gorzką ironią i rozejrzał się po pokoju, maleńkim i ciasnym. Na ścianie wisiały scerniałe portrety naczelnego dowódcy i przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, obok obrazek: przysięga żołnierzy pierwszej dywizji kościuszkowskiej nad Oką. Poza tym w pokoju była stara, przegniła szafa, połączona wąską listwą z wysoką półką, na której obok przypruszonych książek stała niewielka białoniebieska, jak gdyby wiecznie zdziwiona butelka „Odolu". Czuć było zbutwiałą stęchlizną, której z takich pokojów pozbyć się nie można nawet długotrwałym wietrzeniem. Obsiada ściany, wgryza się w powietrze jak płyn na pluskwy.

— A to, że znalazłeś się w bandzie, to także dowód braku zdecydowania? — spytałem.

Spojrzał na mnie jak człowiek gwałtownie wyrwany ze snu.

— Czy przyprowadziłeś mnie tutaj na przesłuchanie, czy na prywatną rozmowę? O co ci właściwie w ogóle chodzi? Czego chcesz się ode mnie dowiedzieć? że żałuję swoich czynów, że źle robiłem? mam się przyznać do tego — że jak wy to nazywacie — jestem faszystowskim zbrodniarzem, a może wolisz, abym ci powiedział dlaczego z wami walczymy? — mówił podniesionym głosem.

— Dlaczego z nami walczycie... Nie, tego się od ciebie dowiedzieć nie chcę. Ty zresztą tego sam na pewno nie zdefiniujesz. Zaczniesz operować jakimiś sloganami i frazesami, w których każde słowo pełne będzie fanatycznej histerii. Będziesz mówił: ojczyzna, słowem „Polska" będziesz obracał jak terkotką od rana do wieczora, będziesz snuł jakieś mgliste koncepcje o „ratowaniu kraju" — jak to lubicie określać. Powiesz, że dla dobra Polski był dzisiejszy napad. Że w imię patriotyzmu organizujecie dywersję.

„Hrabia" wpatrywał się uważnie w jakiś niewidoczny punkt za czarnym kwadratem okna. Na metalowej płytce w obitym czajniku jękliwie gotowała się woda. Żółtawe światło migotało nerwowo. Zwolna wzrok jego przesunął się do wnętrza pokoju i zatrzymał się na półce z książkami.

Jesteś więc — jak widzę — konsekwentny w swoich poglądach, które od

moich różnią się tak bardzo, jak dzień różni się od nocy. Twoją drogą, była — armia. Moja, musiała skończyć się w lesie, czy jak wolisz — bandzie.

Odsunął od siebie poszczerbiony talerz, na którym żółciły się jeszcze resztki grudkowatej jajecznicy. Z pośpieszną niecierpliwością skręcał grubego, niekształtnego papierosa. Zapalniczka z tępym zgrzytem zacinała mu się w ręku. Wreszcie zapalił.

— Wśród twoich książek — mówił dalej — jest jedna, którą z największym zainteresowaniem przeczytałem przed kilku miesiącami. Pamiętam, wtedy właśnie wysłano mnie w te okolice. — Dostałem ją kiedyś... zaraz po wojnie od naszej łączniczki, z którą spałem przez kilka nocy. Powiedziała mi wtedy: „nasza droga powrotna będzie jeszcze bardziej ślepa, jeszcze trudniejsza od „Drogi Powrotnej" bohaterów Remarque'a — biedna Donata, zginęła — zdaje się, że poznałeś ją wtedy u mnie. Jak bardzo miała rację. Dużo nad tą książką myślałem i wiesz, doszedłem do wniosku, że dla takich jak ja, nie było już drogi powrotnej z chwilą zakończenia wojny. Tacy jak ja, nie umieją już żyć normalnie — życiem, które składa się z codziennej pracy, jakiegoś bliżej określonego planu — życiem, co rozbija się na tygodnie, miesiące, lata. Codziennością, podczas której w południe jada się obiad, wieczorem kolację, raz na tydzień idzie się do kina... może jeszcze nauka. — Brr... wstrząsnął się nerwowo. Pomyśleć, że poza tym żyłbym w potwornie ciężkich warunkach materialnych, bo jakże w t a k i e j Polsce można inaczej żyć i patrzałbym oczami pseudowolnego człowieka na wszystko co wokoło się dzieje.

Niedopałek papierosa sparzył mu usta. Wyjął go z pomiędzy warg i poprosił o tytoń. Wtłoczył go palcami w oderwany, prostokątny kawałek gazety, który zwinął i poślinił. W blasku zapałki zauważyłem dziwnie starczy wyraz jego chudej, spryskanej szczeciniastym zarostem twarzy.

Powoli z za okna wsączała się do pokoju popielatawa jasność. Zmieniała koloryt przedmiotów i wyostrzała ich kontury. W tym szarawym półmroku głos „Hrabiego" dobiegał jakby z coraz dalszego, dalszego, przegrodzonego niewidoczną wodą brzegu:

— Przed czterema mniej więcej tygodniami zaatakowaliśmy pociąg za Rzeszowem, niedaleko stąd. Któryś tam przyłożył maszyniście spluwę do głowy i wagon za wagonem obrabialiśmy pasażerów. Ustawiało się ich tuż przy nasypach i dokładnie rewidowało, a potem tych, którzy mieli partyjne legitymacje odstawialiśmy na bok. Próbowali się bronić — paru rzuciło się nawet gołymi rękami na naszych, ale my byliśmy świetnie uzbrojeni. Kilka dni przed tym dostaliśmy nowy transport „Stenów" i „Thompsonów". Rozstrzelali wtedy siedemnastu ludzi. Nie mówię: rozstrzelaliśmy, bo — może to będzie dla ciebie niezrozumiałe — ja naprawdę od jakiegoś czasu uchylałem się od mokrej roboty. Ale tak bardzo nienawidziłem tego co wy od pierwszej chwili zaprowadzaliście i stale zaprowadzacie w kraju. Może jestem daltonistą, ale wiem jedno: nienawidzę tego co wy wyznajecie, waszego światopoglądu, waszych ideałów — was wszystkich co wyrwaliście nam władzę z ręki, co zepchnęliście nas do podziemia, do lasu.

Po chwili:

— Gdy w 1944 roku cały nasz oddział włączyli do Brygady Świętokrzyskiej, gdy przyszedł rozkaz wymarszu z kraju na zachód, z Niemcami, zgłosiłem się do dowództwa i poprosiłem o pozwolenie pozostania na miejscu. Nie chciałem jechać w nieznane, tułać się po obcej ziemi. Zresztą ani przez chwilę nie wierzyłem, aby Komitet Wyzwolenia Narodowego mógł objąć rządy w kraju — rządy, które mogłyby się dłużej utrzymać. Zgodzili się, ale dali rozkaz skontaktowania się z jakimś pułkownikiem przysłanym z Anglii. Zrzucili go dla zorganizowania grupy dywersyjno-sabotażowej na wschodzie. Zameldowałem się u niego. Zamieszkał w małym miasteczku w pobliżu frontu. Udawał tam więźnia powracającego z obozu. Teraz dopiero zaczniemy robotę na serio — powiedział mi wówczas. Przydzielił mnie na te najgorętsze tereny. Co tutaj robiliśmy — wiesz dobrze. My staraliśmy się nie dopuścić aby wam udało się wasze rządy utrwalić. Zwalczaliśmy i zwalczamy was wszelkimi środkami, rozmaitymi metodami, a wy... no cóż — utrwalacie je pomimo to.

— My utrwalamy pomimo to — powtórzyłem za nim.

Do pokoju wpadły pierwsze, ukośne, zmieszane z prochem promienie wczesnego słońca. „Hrabia" wstał z siennika i oparł się o trzeszczącą szafę. Wirująca, lekko fioletowa smuga prześwietlała go jak gdyby promieniami Roentgena. Gdzieś koło domu, głośny psi szczekot mieszał się z ostrą koloraturą koguta.

„Hrabia" podniósł na mnie zmęczony, ciężki, jak gdyby przesłonięty przezroczystą zasłoną wzrok. Gdy w chwilę potem do pokoju zapukało dwóch żołnierzy, aby odprowadzić go do sztabu dywizji, pozostało mi w pamięci to właśnie jego niespokojne spojrzenie.

III

Dzień był wczesno jesienny. W całej Warszawie siarczyście pachniało cementowym roztworem i świeżym drzewem murarskich rusztowań. Dziesiąta rocznica niemieckiego najazdu na Polskę mijała w hałasie pneumatycznych młotów, świście aparatów spawalniczych, w prędkim stukocie odbudowy. Otwarta przed kilku tygodniami przedterminowo w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy wykonana trasa błyszczała triumfalną, kolorową świeżością. Była jak wielki, luksusowy statek pasażerski, na którym różnojęzyczna masa pasażerów odnajduje wspólny język.

Wmieszany w tłum, stałem oparty o niską kolumienkę. Powierzchnia jej lśniła cząsteczkami miki. Falujące ludzkie głowy ciemną plamą odbijały się od szeroko rozpiętego horyzontu, który gdzieś w oddali przecięty był sterczącym kikutem wypalonej kamienicy. Kilka metrów przede mną wytryskiwała wprost z okrągłego podmurowania, tęczowa łodyga fontanny. Miniaturowe domki, jeszcze wilgotne nowością, niezaschniętym tynkiem, i czymś nieuchwytnym i dziwnie rozleniwiającym. Nie zwróciłem nawet uwagi na kogoś kto przerwał moje rozmyślania i dosiadł się do stolika. Minęła dopiero dłuższa chwila — może minuta, może pięć, gdy wyczułem przez skórę, że człowiek siedzący obok zwrócił na mnie uwagę... Koło mnie był „Hrabia". Dzielił nas tylko okrągły, nakryty papierową serwetą, blat stolika. Obskubywałem bezmyślnie strzępiasto wycięty paznokciem skrawek papieru, który wreszcie ugniotłem w palcach jak kulkę z chleba i wyrzuciłem poza siebie.

Przemówił: — Trzecie spotkanie... pomyśl, właśnie tutaj, jak deus ex machina, jak... jak — szukał przez chwilę określenia — fatalistyczna symbolika ludzkiego losu.

Zawsze lubił górnolotne sformułowania — przemknęło mi przez myśl. Po momencie ciszy odezwałem się drewnianym, bezbarwnym głosem:

— Zostaw w spokoju tę twoją „symbolikę losów", „deusy", „machiny" i te wszystkie egzaltowane, napuszone zdania. Powiedz po prostu: skąd ty tutaj i jakie były twoje koleje. Myślę, że tematów ci nie zabraknie.

— Tak, tematów mi nie zabraknie — powtórzył za mną głucho, wpadając w ostatnie niemal niedopowiedziane słowo.

Głośnik chrapliwie wydzierał ze swego tubiastego wnętrza oklepane słowa jakiegoś popularnego szlagieru. Mały, pulchny pętak wkładał palec pod wodną fontannę, patrząc ze zdziwieniem na rozpryskujące się wokół krople.

— Widzisz — zaczął — moja historia jest dziwna, trochę może trudna do zrozumienia dla ludzi takich jak ty — ludzi, którzy do swojego ideologicznego pociągu wsiadali z całkowitym poczuciem pewności ,że dowiezie ich do właściwego celu, że wszystkie przystanki i stacje są takie właśnie, jakie uplasowane zostały we właściwym rozkładzie jazdy.

Pociągnął długi łyk zawiesistej kawy i łapczywie zaciągnął się dymem z papierosa.

— Moja droga, która zakończyła się tym, że dzisiaj — wskazał palcem na klapę marynarki, gdzie tkwił znaczek warszawskiej architektury — studiuję w kraju na polskiej uczelni, — jestem wolnym człowiekiem i mam swobodę działania — moja droga wiodła przez teren śliski, a przecież mogła być znacznie łatwiejsza.

— Tak — dodał — to wszystko nie szło łatwo i prosto. Późno przyszło moje zrozumienie, późno zorientowałem się i wyciągnąłem wnioski z tego, że o Polskę trzeba walczyć w kraju. Przysunął swe krzesło bliżej mojego i nerwowo zaczął swą opowieść:

— Gdy wtedy, po naszej nocnej rozmowie w lipcu 1945 roku, odesłany zostałem do sztabu dywizji waszej jednostki, a potem do więzienia, prześladowany byłem całkowicie młodzieńczą zapalczywą nienawiścią — jak ty ją nazwałeś — zdaje się: nienawiścią spontaniczną, i to był mój błąd. Pamiętam: ślizgałem się wówczas po powierzchni różnych zagadnień, nie wchodząc w ich wnętrze, odrzucając a priori wszystkie dyktowane przez samo życie argumenty przemawiające za wami. Takim byłem wtedy: szczeniacko pewny siebie, wymachujący biało - czerwonym sztandarem, który był parawanem dla pełnego niepokoju i niebezpieczeństw, zabarwionego zbrodniczą romantyką życia. Gębę miałem nabitą pociskami frazesów i banałów, które wyrzucałem w twarz każdemu, kto myślał inaczej jak ja. Uważałem się za męczennika idei, za bojownika o wolność i Bóg wie jakie jeszcze przychodziły mi porównania do głowy. A tymczasem byłem tylko frajerem, który dał się złapać. — Przy jakiejś przypadkowej okazji udało mi się zwiać z więzienia. Skontaktowałem się po wielu tarapatach z tym pułkownikiem, który wysłał mnie do lasu. Powiedział mi wtedy na przywitanie, że dumny jest z tej wspaniałej młodzieży, która tak nieugięcie walczy z „czerwonymi bandytami", obiecał „Krzyż Walecznych", czy „Zasługi" — nie pamiętam dokładnie. Mieszkał już wtedy w Warszawie, w eleganeko urządzonym mieszkaniu na Żoliborzu. W kilka miesięcy później, gdy przy jego pomocy wyjechałem „na lewo" z kraju, i znalazłem się w Niemczech, wśród swoich kompanów z Brygady Świętokrzyskiej, dowiedziałem się, że został aresztowany. Byłem już wtedy dokładnie zorientowany w ogólnej sytuacji na emigracji, znudzony ogłupiającym pełnieniem wartowniczej służby, — słowem: zaczynałem wolno, niepewnie i nieśmiało, jak gdyby sterroryzowany obecnością w sobie samym jakiegoś „oka wewnętrznej kontroli" — rozumieć beznamiętnie i spokojnie.

„Hrabia" odchrząknął i poprosił przechodzącą kelnerkę o nową filiżankę kawy. Głos spikera odczytującego dziennik popołudniowy mieszał się z warkotem nisko przelatujących samolotów.

— Jeszcze wówczas, nie zastanawiałem się głębiej nad całą polityczną bezsiłą emigracji. — Ot, po prostu rejestrowałem widziane fakty i zaczynałem porównywać. — Segregowałem hasła jednej i drugiej strony i wkładałem je do odpowiednich myślowych szufladek. A potem coraz silniej, coraz gwałtowniej opętywała mnie mania patrzenia na wszystko przez lornetkę kontrastów. W szkłach przybliżających widziałem to, co działo się dokoła mnie. Obóz z brudnymi pryczami, różnych majorów Wiśniewskich, czy pułkowników Kowalskich, modlących się do boga Andersa o wstawiennictwo za trzecią wojną, nędzę, głupotę, ponurą, stale wzrastającą beznadziejność i tępą ślepą nienawiść do tego, co działo się tam — za „żelazną kurtyną". Brak jakiegokolwiek czynu, jakiejkolwiek konkretnej roboty.... Nastawiałem na każde zjawisko lornetkę z dwóch stron. I oto — jak gdyby dla ironii — szkła oddalające ukazywały mi — niczym w kolorowym kalejdoskopie — kraj mojego dzieciństwa. — Rozumiesz przecież co to jest tęsknota.... Przesuwały się widoki pól, łąk i nade wszystko Warszawy. Urastała ona na tle szklanej soczewki do jakiegoś usymbolizowanego obrazu, który był raz wspaniałą, szeroką arterią, pełną po obu stronach nowoczesnych, jasnych domów, to znowu przemieniał się w wizję pachnących wiosną — wspaniałą warszawską wiosną — Alei Ujazdowskich, parku, Łazienek. To „lornetkowe" podejście do życia trwało dalszych kilka miesięcy. Przez ten czas obserwowałem stale mocniej, stale uważniej to, co rozgrywało się tuż pod moim nosem, widziałem jak powoli cały ten świat, który zaczynał się i kończył w obrębie małego miasteczka, a właściwie ściślej: dużego obozu „dipisów", wciągał się w rydwan jakiejś mglistej, mistycznej religii. Następował stały zanik nawet tej pseudo-idei, która streszczała się w jednym słowie: czekanie. Na co i na kogo — nikt nie definiował jasno. Czasem tylko wyrywało się z głębi jakiegoś oficerskiego, otępiałego serca westchnienie: — „ach, żebyż to już szybciej zaczęli wreszcie". Od tej bierności brała mnie po prostu cholera. — Wracałem ze „stania" — tak zaczynałem nazywać moją pracę dla ojczyzny. Bo jak inaczej można było określić służbę wartowniczą, kiedy niczym wsadzony w ziemię patyk — stoisz i tylko spoglądasz w ten sam monotonny widok i myślisz. To zaczynałem uprawiać coraz intensywniej. „Praca dla ojczyzny", pod którą podciągano każde zajęcie z dala tylko od Polski, zaczynała nudzić mnie od wewnątrz, po prostu mdlić w żołądku.

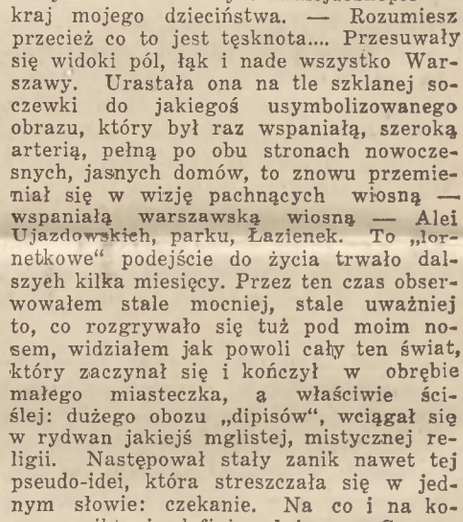

W tej sytuacji miałem dwie drogi: albo stać się takim, jak moi koledzy, to znaczy świadomie, z premedytacją głupieć i brnąć dalej w tę smutną zabawę, pozwalając sprasować się przez życie na całkowicie bezkształtną miazgę historii, ewentualnie wynająć się dosłownie: wynająć, jak na targu niewolników, do karczowania lasów w Kanadzie, czy do jakiejś kopalni węgla, gdzieś w Argentynie lub Chile...

Druga droga oznaczała zdeklarowanie się przed samym sobą. Ta droga wymagała całkowicie jasnego postawienia sprawy — krótko mówiąc: powrotu, no, i konsekwencji za wszystko.

Od kilku minut „Hrabia" mówił z zupełnym spokojem, ważył każde zdanie w myśli, jak gdyby jeszcze raz przepuszczał wszystkie swoje przejścia przez filtr rozsądku i sumienia. — Obok nas huczał typowo kawiarniany gwar.

— To drugie wyjście było na pewno trudniejsze. Nie byłem jeszcze całkiem przygotowany wewnętrznie na zdawanie rachunków ze swojego bilansu życiowego. Wyjazd na drugi kraniec świata, albo ślęczenie w śmierdzącym obozie, to oznaczało jeszcze parę lat odwlekania i ostatecznie pójście po linii najmniejszego oporu. Siedzieli inni, głupieli inni, czekali inni na nieznane wyjście, na jakiś bliżej nieokreślony, tajemniczy „exodus" — może dałbym rady i ja. Ale było coraz więcej takich, którzy przegrywali wojnę z własnymi nerwami, którzy nie mogli wytrzymać tej atmosfery absolutnego bezruchu, jakiegoś umysłowego i psychicznego bezwładu. Najpierw zniknęło z obozu kilku, potem kilkunastu, a potem znikało ich coraz więcej. Zaczęto z początku szeptem, konspiracyjnie, a po jakimś czasie już głośniej i odważniej, mówić o amnestii w kraju, o miastach powstających z ruin, o wzrastającej stopie życiowej. W tym czasie — to było, zdaje się w pierwszych miesiącach 1946 roku — zaczynała już budzić się we mnie decyzja. To nie był — zapewniam cię — proces automatyczny. We śnie widziałem znajome twarze, tkwią-

(dokończenie na str. 7)

WANDA LEOPOLD

Wystawa i widzowie

Trudno zdać sobie sprawę, czy tegoroczne Międzynarodowe Targi Poznańskie mają większe znaczenie jako gospodarcza impreza międzynarodowa czy też jako wewnątrzkrajowa wystawa o wielkiej społeczno-wychowawczej doniosłości.

W skali międzynarodowej z roku na rok rośnie wzajemne zainteresowanie osiągnięciami państw demokracji ludowej, z roku na rok wystawcy kapitalistyczny kurczą swoje, organizowane z czysto handlowego punktu widzenia, stoiska, coraz mniej mogąc zaprezentować rzeczy lepszych czy niezastąpionych, a jednocześnie z roku na rok wzrasta ilość dziennikarzy i przedstawicieli najrozmaitszych przedsiębiorstw zwiedzających Targi, rosną zamówienia z Zachodu.

Na tegorocznych Targach linie podziału politycznego występują bardzo wyraźnie: stoiska kapitalistyczne są chaotycznym zbiorem eksponatów, często tylko wyrafinowanych a nie istotnie celowych, jak np. szwajcarskie budziki na rękę, natomiast pawilony Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej ukazując dorobek swej produkcji, wskazują jednocześnie dalszy planowy rozwój gospodarczy, ukazują wysiłek i współdziałanie całego społeczeństwa w gospodarce krajem i jego zasobami, mówią o wielkiej solidarności pracy mas ludowych nad budowaniem podstaw światowego dobrobytu. Te ukazane w różnych formach, różnych językach, w twarzach ludzi różnych krajów przodujących w swojej dziedzinie pracy, w różnych etapach zakreślonego planu — wspólne cele i wspólne dążenia są tak wyraźne, że wystarczy przejść przez połączone pawilony Węgier, Albanii, Bułgarii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Czechosłowacji i Rumunii, by wiedzieć nie tylko co obecnie kraje te produkują, ale również do czego dążą i o co walczą. Nie potrzeba haseł i plakatów z gołąbkiem pokoju. Twarze rolników, cytaty z ich wypowiedzi, wskaźniki norm są najbardziej realną manifestacją obozu pokoju, są świadectwem najlepszym międzynarodowej solidarności tych wszystkich, którzy w swojej ojczyźnie poczęli już budować socjalizm i nie dopuszczą wraz z ciemiężonymi ludami innych krajów do nowego pożarzenia świata. I to jest jeszcze jedno międzynarodowe znaczenie Targów Poznańskich.

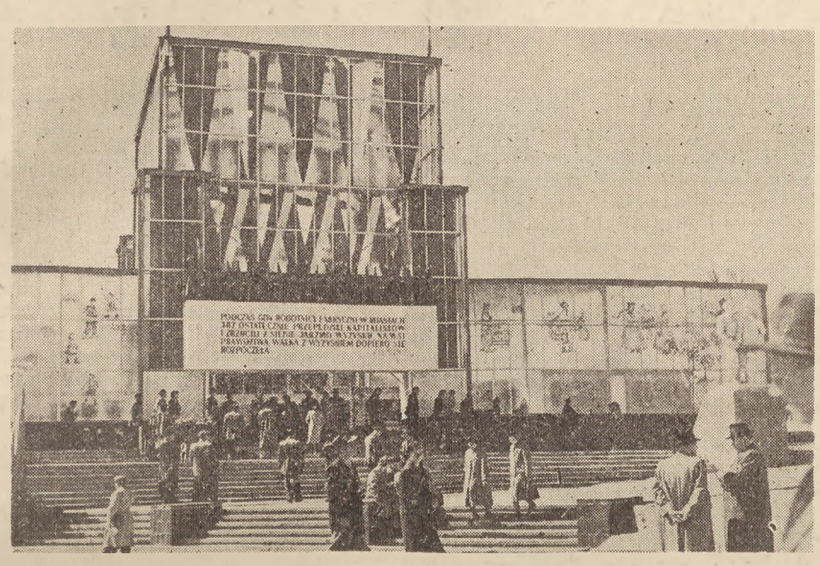

Pawilon problemowy wiejski

(Foto. WAF)

Część polska Targów urasta do rozmiarów oddzielnej wystawy. Tak też została pomyślana: jako pełne, szczegółowe przedstawienie osiągnięć planu 3-letniego i zarysowanie wytycznych planu 6-letniego we wszystkich dziedzinach pracy. Jak bardzo cenna, pobudzająca i potrzebna jest taka poglądowa lekcja wiedzy o Polsce współczesnej, jak celowe jest organizowanie corocznego przeglądu dorobku naszego kraju, świadczą reakcje i opinie tysięcy zwiedzających z całego kraju. Oczywiście nie tych „zwiedzających", którzy od wczesnych godzin rannych warują przed wszystkimi bramami wejściowymi, aby w momencie ich otwarcia rzucić się cwałem, tratując trawniki, do upatrzonych stoisk kiermaszu targowego, wykupić w jak najkrótszym czasie największą ilość towarów zagranicznych i polskich, sprzedawanych poniżej cen rynkowych, i po dostatecznym objuczeniu się, następnego dnia zaczynać od nowa. Trudności w ukróceniu tej spekulacji są ciemną stroną Targów, która blednie jednak wobec zupełnie innego nastroju całości. Kierownictwo Targów doceniając dydaktyczny charakter wystawy zorganizowało jak najbardziej masowy udział zbiorowych wycieczek z wszystkich dzielnic kraju. Są to wycieczki przodowników pracy, Samopomocy Chłopskiej, poszczególnych załóg fabrycznych, młodzieży szkolnej miejskiej i wiejskiej. Codziennie kilka tysięcy osób podzielonych na mniejsze grupy ogląda, komentuje, uczy się i uczy też niejednokrotnie organizatorów wystawy i przewodników. Są to przecież ci sami ludzie, których osiągnięcia wystawa reprezentuje, a ich postawa ożywia wykresy i fotomontaże na ścianach. Gdy słucha się, rozmów tych ludzi, w skupieniu oglądających stoiska i słuchających słów przewodnika, dotyka się nieomal jądra zachodzących przemian: i dopiero w tym zestawieniu rysuje się najpełniejszy sens wystawy. Dlatego też wszystkie dalsze, dotyczące konkretnych szczegółów wystawy, uwagi będą wnioskami z podsłuchanych, bądź przeprowadzonych rozmów z uczestnikami wycieczek robotniczych i chłopskich.

Pierwszym ogólnym odruchem jest chęć wykorzystania wystawy pod kątem potrzeb własnego warsztatu pracy i zawodu. Uczestnicy wycieczek jednodniowych, zaniepokojeni obszernym programem zwiedzania, który przed nimi roztacza przewodnik, dopominają się o obejrzenie najbardziej interesujących ich rzeczy. — Panie, panie, niech pan nie zapomni o maszynach rolniczych. — A te kopaczki, panie, to daleko? możebyśmy najpierw obejrzeli? Takimi głosami zaczyna się każda wycieczka, a jej uczestnicy są wyraźnie niespokojni, póki nie dotrą do zamierzonego celu. Przy takich stoiskach zaczynają się fachowe dyskusje o inowacjach, przydatności i celowości, dokładne oglądanie każdego szczegółu, nierzadko bystra krytyka, pouczanie przewodnika, który nie może być przecież specjalistą w każdej dziedzinie. Zwiedzający z zadowoleniem oglądają też znane już czy posiadane maszyny i urządzenia, informując o ich przydatności. Cała reszta traktowana jest z punktu widzenia: czy by się u nas przydało.

Następne miejsce w hierarchii zainteresowań zajmują wszelkie sprawy systemu produkcji przemysłowej: w każdej, już obcej nawet dziedzinie pracy pokazanie działania maszyny i człowieka, sposobów usprawnień, przebiegu produkcji. Nawet nieme i nieruchome maszyny, o których przydatności głosi tylko lakoniczny napis, są przedmiotem długich oględzin i dociekań co do sposobu ich funkcjonawania. Niesposób, by jeden przewodnik mógł odpowiedzieć na wszystkie rzeczowe pytania. W związku z tym sądzę, że celowa byłaby pewna reorganizacja w oprowadzaniu i informowaniu wycieczek. Zwiedzający żądają i oczekują wszechstronnych, rzeczowych wyjaśnień. Jeden tylko przewodnik nie jest w stanie uczynić tego w stosunku do całej wystawy. Rola przewodnika powinna być ograniczona do przeprowadzenia w odpowiedniej kolejności z pawilonu do pawilonu, do informowania o całości zagadnień danego pawilonu czy stoiska i wiązania ich problematyki z całością spraw gospodarczych kraju. Oczywiście przewodnik taki musi mieć pewne wyrobienie polityczne, co przy najlepszej woli często jeszcze u wielu szwankowało w tym roku. Dobrze by było, gdyby funkcje przewodników mogli pełnić np. studenci-zampowcy. Natomiast przy każdym bardziej skomplikowanym stoisku powinien być fachowiec udzielający rzeczowych informacji z danego zakresu. W miarę możliwości należałoby je uzupełnić pokazem. Może dałoby się też zorganizować, aby Film Polski, którego pawilon w tym roku

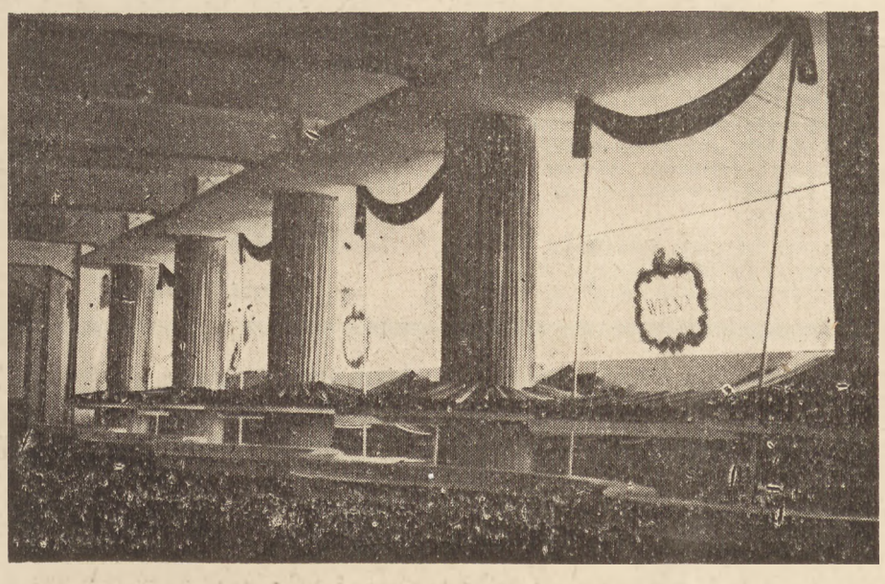

Fragment pawilonu włókienniczego na MTP

Foto WAF

świeci przez cały dzień jedynie fotosami z dawnych polskich filmów, wyświetlał w niektórych punktach krótkometrażówki obrazujące nowatorskie metody pracy, ich zastosowanie i wyższość w stosunku do metod dawnych, a więc np. pracę murarską systemem trójkowym, przeładunek potokowy, nowe sposoby wiercenia i odpalania itp. Nie wystarczą same portrety przodowników i racjonalizatorów. Ludzie chcą się dowiedzieć naocznie, na czym w istocie polegają osiągnięcia ich towarzyszy z innych działów pracy.

Nieco podobnie wygląda sprawa fotomontaży i wykresów. Wyraźny nadmiar tego typu egzemplifikacji sprzyja może i ułatwia ornamentykę wystawy, nie sprzyja natomiast bynajmniej jej dydaktyczności. W ciągu jednego dnia zwiedzający nie są w stanie nie tylko spamiętać, ale choćby ogarnąć tego wszystkiego, czym jeżą się ściany pawilonów, tym bardziej, że często wskutek graficznych „ozdóbek" wykresy te i plansze są bardzo mało przejrzyste. Tę ścienną informację należałoby ograniczać do kilku wyraźnych, czytelnych symboli i cyfr. Szczegółowsze informacje można umieścić na jakiejś ulotce rozdawanej u wejścia czy wyjścia pawilonu, tak by zwiedzający, po powrocie do domu, mógł sobie przypomnieć i utrwalić wiadomości i wrażenia. Bo to, że obok cyfr, wykresów i plansz ludzie przechodzą całkowicie obojętnie, nie płynie z braku ich szerszego zainteresowania. Wszystkie rozdawane informatory są natychmiast rozchwytywane, a jak bardzo chciwa wszelkiej wiedzy jest owa publiczność, świadczyć może następujący przykład. Dom Książki ma na Targach 12 stoisk, racjonalnie pomyślanych, każde bowiem stoisko reprezentuje inny dział, anonsowany widnym z daleka szyldem. Dom Książki doprawdy dobrze i pianowo zorganizował sieć sprzedaży na Targach. Przeliczył się tylko co do jednego. Przewidywany obrót w całym okresie Targów miał wynosić około 3 milionów złotych. Tymczasem już w piątym dniu Targów obrót przekroczył 4 miliony złotych. Najbardziej poszukiwane pozycje to: słownik polsko-rosyjski, ilustrowany Pan Tadeusz w wyd. „Książki i Wiedzy", radzieckie książki techniczne, publikacje społeczno-polityczne.

Te dane cyfrowe i merytoryczne nie wymagają komentarza i mówią napewno więcej niż cały pawilon Kultury i Sztuki na wystawie. Nie jest to złośliwość, tylko przykre stwierdzenie, że pawilon ten należy do najbardziej niefortunnych na Targach. W dwóch szlanych halach widzimy kolejno np. popiersie i fortepian Chopina, kilka kolorowych serwetek ludowych i wyrobów ceramicznych, dalej parę przygodnych książek w jakiejś szafie, kilka fotografii z świetlic, kilka fotografii współczesnych pisarzy polskich i t.d. Kompletny chaos i przypadkowość, z których oczywiście nie wynika żaden obraz całości ani problematyki. Na dziedzińcu zaś rzeźby, wśród których nie wiadomo dlaczego właśnie w tym pawilonie przeważają akty i półakty kobiece. Zdaje się, że pawilon ten był wykończony już po rozpoczęciu Targów i może dlatego nie został właściwie zaplanowany. Ale przykro jest stwierdzić, że i na tym miejscu „Kultura i Sztuka" są w ogonie.

Z zagadnieniem tym łączy się sprawa plastycznej oprawy Targów, której w związku z Ogólnopolską Wystawą Plastyki należy się osobne omówienie. Znów z obserwacji widzów stwierdzić mogę, że na większość symboli i obrazów nie reagują oni zupełnie. Widz tej wystawy pragnie przede wszystkim konkretu, realiów, wiadomości. Symbol, który przyjmie i zapamięta, musi być bardzo czytelny i jednoznacznie się tłumaczący. Tak np. ogromnym zainteresowaniem cieszy się pawilon przemysłu ciężkiego. Ale wiem, jak zaskoczeni byli uczestnicy jednej z wycieczek, gdy w przedsionku tego pawilonu ujrzeli małą, obetonowaną sadzawieczkę, a nad nią zawieszone trzy nadnaturalnej wielkości tryby. W każdym trybie pluszcze mała fontanienka. Chłopi ze spółdzielni produkcyjnej w Strzelinie byli niemile zdziwieni, że nie wiedzą co to jest i co to znaczy. Należy pamiętać stale, że widz tej wystawy chce rozumieć wszystko co widzi, że żąda i pragnie wyjaśnień jeżeli sam nie rozumie, że szuka przede wszystkim celowości — i o tym pamiętać winni również dekoratorzy. Ogromnym powodzeniem natomiast cieszą się makiety, szczególnie, jeżeli ustnie objaśniany jest ich układ. Tak np. makieta wzorowej spółdzielni produkcyjnej w problemowym pawilonie wiejskim obstąpiona jest przez tłum, który w skupieniu śledzi wskazywane długim patykiem i omawiane przez informatora obiekty. Czasem tylko słychać półgłosem wymieniane uwagi: O, widzisz, pralnia! O, o! piekarnia! — nie może już wytrzymać jakaś kobieta i szarpie za rękaw swego towarzysza. W tym okrzyku brzmi nuta radości, że oto bywa tak, iż kobiety na wsi są wyzwolone od tych najżmudniejszych obowiązków. A po drugiej stronie rozmowa: „Chłopów by tu jeszcze na tym pokazali jak pracują; samo się to przecie nie zrobiło" — „E, ty, przecie to tylko wystawa, a jak zrobić, to sami musim pokazać". I takie spotkania i oględziny — to są najpiękniejsze momenty wystawy.

A z drobnych jeszcze pretensji pod adresem tej wielkiej i cennej imprezy, pretensja do Polskiego Radia: jeśli chce dodatkowo uprzyjemnić zwiedzającym wystawę muzyką, niech nie nadaje w kółko amerykańskich szlagierów tanecznych. Dość mamy chyba pięknych i popularnych piosenek rewolucyjnych, młodzieżowych, żołnierskich i melodii ludowych. Radio w pawilonie czeskim nadaje czeską muzykę ludową. I słusznie. Doskonale też rozumiem, że pawilon gastronomiczny jest bardzo potrzebną instytucją, ale czy należy co kilka minut informować, iż pawilon gastronomiczny zaprasza na wieczorny dancing czynny do godziny 2-ej, tak jakby innych rozrywek i możliwości spędzenia wieczoru w Poznaniu nie było?

Te drobne sprawy notuję jedynie dlatego, że z pewnością z roku na rok tego typu wystawa przybierać będzie coraz doskonalsze formy i coraz mniej będzie nieporozumień między nią a jej widzem. Bo przecież już wystawa tegoroczna jest w całości wielką defiladą i przeglądem pracy i pokoju. Z tego samego źródła płyną słowa zwiedzających i hasła czy liczby na ścianach. Płyną z woli pokojowej pracy i walki o lepszy świat milionów ludzi, coraz silniej, coraz świadomiej zespalających się we wspólnym działaniu.

Wanda Leopold

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Przełożył Artur Sandauer

PODPORA

Towarzysz Popow
chłop prosto od kielni,
do wypitki
chłop
i wybitki.
Partyjny nawet.
Cóż,
kiedy piekielnie
boi się samokrytyki.
— Gazetę otworzysz —
napaści,
ataki...
Świat
się w posadach trzęsie.
Biją.
A w kogo?
W osoby takie,
że skórki
dostajesz
gęsiej.
Toć to
podrywa,
to podważa przecie...
Szarganie czci —
że tak powiem...
A ci krytykują,
zapominając o autorytecie,
o stażu,
o stopniu służbowym.
Oddolna krytyka —
wielki to błąd.
Odgórna —
rzecz godna pochwały.
No, czyż można
dopuścić,
by doły
pod rząd
nic
tylko krytykowały?
O brudach swoich
trąbimy wszędzie!
Pismaków tych
rwałbym
i gryzł ja!
Powiedzmy —
zbłądziłem.
Toż
w moim urzędzie
jest
rewizyjna komisja.
Toż można
nie naruszając podpór
w gronie
tam...
swoich...
kolegów...
wezwać,
powiedzieć:
— Towarzyszu Popow,
popuśćcie trochę!
Wolnego! —
Wychodzisz w gazecie
czarniejszy niż sadza.
Rzucają ci
w twarz
bezeceństwa.
Towarzysze,
toż to przecie
rozsadza
ostoje społeczeństwa!
A kogo krytykują? —
głos mu się rwie,
ze zgrozy
zamachał
rękoma —
wczoraj —
Iwanowa,
dzisiaj —
mnie,
a jutro —
Sownarkomat! —
Towarzyszu Popow,
przestańcie chlipać.
Plotki o podrywaniu —
to lipa!
My wszystkich wzywamy,
by twardo,
bez fałszu
krytyka
draństwo
kosiła, —
i to jest
dowodem
najdoskonalszym
naszej
czystości i siły.

Pawilon ZSRR na XXIII Międzynarodowych Targach Poznańskich

Foto WAF

JANINA PREGER

Wiersze Tadeusza Hollendra

Recenzję z pośmiertnego wyboru poezyj Tadeusza Hollendra, opracowanego przez Związek Literatów Polskich*) zacząć należy od polemiki z niejasnymi i mylącymi ocenami, zawartymi we wstępie Aleksandra Maliszewskiego. Książka obejmuje trzy części: wiersze wybrane z pierwszego tomu Hollendra „Czas, który minął", z drugiego tomu „Ludzie i pomniki" oraz satyry, fraszki i ostatnie wiersze, pisane za lat okupacji.

Charakteryzując rozwój poetycki Hollendra Maliszewski tak porównawczo ocenia wiersze okresu „Czasu, ktory minął" i okresu następnego „Ludzi i pomników": „Wiersze tego okresu („Czasu, który minął") są, powiedziałbym, najtroskliwiej formowane. Autor szukając dróg dla swojej poezji, starannie czyści ścieżki wzruszeń, marzeń, tęsknot. Ten okres formalnie bardzo odcina się od następnego, kiedy Hollendra porwie walka o ideały społeczne. Zaniecha tedy formalnych gładzizn — stanąwszy wobec ogromu zadań, będzie pracował jakby z pośpiechem, aby zdążyć wyśpiewać treści niepokojów, protestów, buntów". (str. 6). „Drugi tom wierszy Tadeusza Hollendra „Ludzie i pomniki" nie przynosi dalszych zdobyczy formalnych. Można by powiedzieć, że wiersze tego tomu są pisane jakby z pewną niecierpliwością. Za to prawie wszystkie są gorętsze, impulsywniejsze, ważniejsze społecznie niż w tomie poprzednim" (str. 7).

Co wynika z tych wypowiedzi? Nie są to wypowiedzi jednoznaczne. Z jednej strony Maliszewski stwierdza, że forma poetycka we wcześniejszym tomiku Hollendra stała na wyższym poziomie niż w następnym, że następny tomik stanowił zatrzymanie się Hollendra na drodze doskonalenia poetyckiego. Z drugiej jednak strony bagatelizuje Maliszewski własne pochwały oddane poetyckim osiągnięciom Hollendra w pierwszym tomiku — nazywając je formalnymi gładziznami". Następnie czyniąc aluzję do niewykończenia formy poetyckiej w „Ludziach i pomnikach" („wiersze tego tomu są pisane jakby z pewną niecierpliwością") próbuje tłumaczyć Hollendra używając zwrotu „za to": za to są „ważniejsze społecznie niż w tomie poprzednim". Otóż to „za to" wskazuje na mylne kryteria ocen Maliszewskiego. Gdyby było tak istotnie, jak ocenia Maliszewski, że wiersze z drugiego tomu są słabsze niż z pierwszego (a tak bynajmniej nie jest, o czym dalej), to nie mogłyby one przecież mieć większej ważności społecznej. Maliszewski, jak się zdaje, wychodził tu z błędnego mniemania, jakoby krytyka realizmu socjalistycznego przeciwstawiała treść i formę, jakoby stawiała tak sprawę, że treść może zastąpić formę — stąd owo „za to". Jest to oczywiście nieporozumienie. Z tak zaciemnionych wypowiedzi Maliszewskiego wynika przecie jedno: że większą wartość poetycką widzi w pierwszym tomiku Hollendra niż w drugim. Tego rodzaju ocena nie wydaje się trafna. Spróbujemy pokazać, o ile bogatszy poetycko jest tom „Ludzie i pomniki" od pierwszego tomiku Hollendra „Czas, który minął".

„Czas, który minął" — to tytuł zbiorku, wzięty od pierwszego wiersza w tomie. Tytuł ten dobrze wyraża to, co można dziś o wierszach zbiorku powiedzieć. Zrodzone są one z ducha czasów, które minęły. Wzory formalne, zakres zainteresowań, tematyki i obrazów autora pozostają w kręgu wpływów wybitniejszych indywidualności „Skamandra", przede wszystkim w kręgu wpływów Tuwima. W tym tomiku widać wtórność formy i nikłość treści, wyraz raczej potrzeby poetyckiej — niż skrystalizowaną indywidualność, która przynosi własną problematykę. Już tytuły owych wierszy: „Sekrety", „Ballada o pannach prowincjonalnych", „Do Kalli list o nocy strasznej", „Kwiatowiersz" — mówią, że jest to tylko sentymentalna krytyka mieszczaństwa, demonizm prowincjonalny, współczująca groteska. Nastrojowość i aluzyjność, nieco werbalne tęsknoty i smutki metafizyczne, nieco spłowiałe erotyki — oto balast pierwszego tomu poezyj Hollendra. Nie można brać poważnie filozofii mijania i nirwany, wyrażonej w wierszach poświęconych „niesamowitości nocy":

„poznałem, że śmierć jest godziną narodzin,
że gdy się traci wszystko, nie traci się wiele"
„Niech walczą, ty mijaniem będziesz ich zwyciężał,
o, wydrwiony przez żywych, więc — tryumfujący".
(„Jedna noc", str. 28)

W stosunku do swoich mistrzów „Skamandrytów" — poezja Hollendra ma o wiele słabszy ładunek emocjonalny w egotycznych lirykach, o wiele mniejszą siłę wyrazu, słabszą siłę wyobraźni. Uderza brak krytycyzmu w doborze leksykalnym i dość bylejaka budowa zdania, cechy naturalne u młodego poety.

Trudno tu doszukać się wybitnych rezultatów owej troski o formę, jaką dostrzegł w „Czasie, który minął" Maliszewski. I nie tylko ze względu na tę ocenę krzywdzącą „prawdziwego Hollendra" z „Ludzi i pomników" — musimy podkreślić słabość pierwszego zbioru poety.

Tom „Ludzie i pomniki" najciekawiej zarysowuje nam oblicze poety. Jemu też, a nie skamandryckim pierwocinom „Czasu, który minął" — należy się najwięcej uwagi. Dopiero problematyka rewolucyjna uczyniła z Tadeusza Hollendra — indywidualność poetycką. Dopiero jako mówca, szyderca, polemista — liryk ów stał się prawdziwym poetą. Napięcie uczuciowe wewnętrznej dyskusji na zawsze aktualny temat: „czy czas żałować róż, gdy płoną lasy" — dźwięczy w poezjach Hollendra bardzo indywidualną i szczerą nutą. Tutaj dopiero stanęły przed poetą prawdziwe zagadnienia. Już nie demonizm nocy miejskiej i upiorność prowincjonalnych amorów pobudza jego wyobraźnię. Ostra walka polityczna, zgrzyty walki społecznej przyciągają go do czynnego udziału — jako człowieka i jako twórcę. Liryka otrzymuje zabarwienie polemiczne, sarkastyczne, satyryczne, — nie przestając być przy tym liryką. Język, zwrotka, zyskują dynamizm, problematyka rządzi luźną dotychczas składnią, wymaga większej dokładności słownika — i oto okazuje się, że forma staje się o wiele bardziej zorganizowana i precyzyjna w ekspresji, z chwilą gdy ta poezja zaczęła wypowiadać ważne i bogate emocjonalnie treści. Gdyż problematyka społeczna napełniła poezję Hollendra bogactwem uczucia i myśli, którego przedtem nie miała. Dopiero teraz zarysowała się oryginalna, nie zapożyczona od mistrzów młodości indywidualność poety. Dopiero teraz czytelnik czuje, że pisarz ma mu coś do powiedzenia. Tytuł tomu wykłada jego program. Hollender będzie swoją poezją walczył o sprawę żyjących ludzi, uciskanych warstw społecznych — przeciw przywilejowi klas posiadających, który się maskuje pomnikami i tradycją historyczną. Ileż wymowy ma ten wiersz polemiczny o „Ojczyźnie":

„I szeptano wciąż — jutro. I mówiono — rano;
że wolnością, równością jak młodość się sprężysz,
a zbudziłaś się oto matką jaśniepanów, białorączków, rycerzy, pomników i księży.
Przeciw synom się własnym pancerzysz przeszłością,
pomnikami obrastasz, a głodem zagrażasz;
co poczniesz z naszym buntem, co z naszą młodością,
stojącą przeciw tobie, a przy twych ołtarzach.
...Chmurz się groźna, a błyskaj śpiżowo nad nami,
włócz nami jak chmurami po skrwawionym niebie!
My pod twoje pomniki kładziemy dynamit,
aby rozmiótł twe kłamstwa, a ukazał — Ciebie!"
(str. 61).

O ile ściślej niż przedtem sprzężony tu bywa epitet ze swoim podmiotem: (np. „załgane znicze") jak konkretne metafory podporządkowane polemicznej argumentacji („*pomnikami obrastasz* — a głodem zagrażasz"), jak podszyte rzeczywistością („Ciebie (ojczyznę — przyp. mój J.P.) tłoczył robociarz w podziemnych drukarniach, a czytywał cię nocą, zaciskając zęby"). Wszystko to jest o wiele bardziej przekonywujące poetycko, niż poprzednie poszukiwania formalne. Wzbogacenie problematyki bardzo dodatnio zaznaczyło się w twórczości Hollendra.

Najwybitniejszym w tym interesującym zbiorze utworem jest „Stulecie". Tutaj dochodzi do głosu wszystko, co było nowe i zaciekawiające, oryginalne w obliczu poetyckim Hollendra. W stulecie powstania „Pana Tadeusza" — na marginesie Mickiewiczowskiego poematu — notuje Hollender refleksje współczesnego Polaka. Wątkiem tych refleksji jest rozgoryczenie z powodu zacofania społecznego i gospodarczego wsi polskiej, w której przetrwał jeszcze ustrój Soplicowa sprzed stu lat, oraz nadzieja na lepszą przyszłość, którą budują ludzkości nasi sąsiedzi na Wschodzie. Wiersz, w którym refrenem jest warkot traktorów od Wschodu, napisany został w roku 1934 i stanowi pozycję o zupełnie szczególnej wymowie. Wyraził w nim Hollender głębokie zrozumienie i serdeczne przywiązanie, jakie ma Mickiewiczowska poezja w sercu każdego Polaka — w sercu niespokojnego poety i w sercu spracowanego, głodnego robotnika. I równocześnie — podkreślał konieczność zniszczenia zacofanego ustroju Polski sanacyjnej dyskontującego dla siebie Mickiewiczowskie tradycje. Podkreślał konieczność zniszczenia hodowli pasożytniczych estetów kawiarnianych, którzy chcą w dymie nikotyny i marzeń o Paryżu przespać i przegrać moment przełomu historycznego. Ten przełom zapowiadają Hollendrowi radzieckie traktory za wschodnią granicą. Wiersz jest niezwykły, pełen poetyckiego fermentu, głęboko przejmujący czytelnika, niepokojący jego myśl i „wykradający" — nawet niechętnym — aprobatę uczuciową. Na dowód warto przytoczyć zacytowane w komentarzu słowa Zawodzińskiego, który określił wtedy „Stulecie" jako: „świetny, techniką przypominający centony starożytnych, montaż poetycki reminiscencyj z „Pana Tadeusza" *zestawionych z groźnymi echami współczesności*", który wbijał się w pamięć „zarówno *niepokojącą w stosunku do tradycyjnego materiału tendencją*, poetycko, bez prozaicznej łopatologii — napomkniona raczej niż wyłożoną, jak i doskonałością rzemiosła...". Te groźne dla sanacji echa współczesności i niepokojące tendencje stanowiły właśnie o niezwykłości i nieprzeciętności tego zjawiska poetyckeigo, jakim był wiersz Hollendra na stulecie „Pana Tadeusza".

Wśród satyr „Ludzi i pomników" trzeba jeszcze zwrócić uwagę na wiersz „W teatrze Fredry", ciekawy, rewizjonistyczny i ostro krytyczny w stosunku do „Legendy Fredrowskiej".

Hollender był poetą aktualności. Pozostałe utwory tomu, liryki, satyry i fraszki, pisane aż do chwili tragicznej śmierci z rąk hitlerowskich okupantów — są przeważnie poświęcone walce z faszyzmem obcym i rodzimym i stanowią wszystkie wzruszające świadectwo pięknej drogi człowieka i poety, czynnego uczestnika swojej epoki.

Obaj autorzy przedmów do tomu wierszy Hollendra — Aleksander Maliszewski i Jerzy Zagórski, jednomyślnie wysuwają na czoło twórczości poety a nawet na czoło polskiej liryki współczesnej wiersz „Wspomnienie z Grecji" (Wiersze z lat 1939 — 1943). Tąką ocenę przypisać trzeba zapewne dwu czynnikom. Po pierwsze pięknej postawie autora, który z uciskanej przez hitlerowców Warszawy przenosi się reminiscencją poetycką do Grecji — i stamtąd wróży srożącemu się barbarzyństwu nieuniknioną klęskę — czerpiąc pewność z ogólnoludzkiej, humanistycznej i klasycznej idei postępu kultury. Po drugie jednak trzeba zaznaczyć, że sceneria klasyczna wywołuje wciąż jeszcze u naszych krytyków pewne przychylne uprzedzenie w stosunku do utworów i autorów, którzy się nią posługują. Może ten drugi wzgląd zaważył na przecenieniu wiersza, którego koncepcja nie otrzymała bynajmniej adekwatnej artystycznej formy. Kompozycja wiersza opiera się na dość luźnym toku paralel i reminiscencyj z historii greckiej, z wierszy greckich Słowackiego, z przeżyć turystycznych autora w czasie wycieczki do Grecji i z wizji okupacji hitlerowskiej w Grecji. Dobór tych skojarzeń jest mało krytyczny, nie dość uzasadniony, wiersz zawiera dużo wielomówności, przez co oczywiście „rozwadnia się" jego działanie poetyckie.

Wysunięcie na czoło twórczości Hollendra takich wierszy, jak „Biały jacht", czy „Wspomnienie z Grecji", utworów, które noszą ślady nieprzezwyciężonej jeszcze „marzycielskiej mgły" i łatwizny poetyckiej, jest krzywdzące dla poety, którego praca została przerwana właśnie w momencie zdobywania nowej, mocnej formy dla nowej, mocnej treści. Dziwi w roku 1950 wysuwanie utworów obciążonych starymi wadami, a przechodzenie do porządku dziennego nad rzeczami wybitnymi, jak „Stulecie", „Ojczyzna", „W teatrze Fredry", „W lasach Serdecznowa", „Kawiarnia blagierów". Nie wydaje się też słuszne jeżeli właśnie o tomie „Ludzie i pomniki" pisze się — jak to czyni Maliszewski — że „Walka o postulaty społeczne toczy się już z całym tumultem, ale nie w poetyckiej twórczości Hollendra, lecz w jego utworach satyrycznych". Jest to ograniczenie krzywdzące lirykę „Ludzi i pomników".

Celem wydawnictwa podjętego przez Związek Literatów Polskich było możliwie wierne zobrazowanie rozwoju poetyckiego Tadeusza Hollendra. Zadanie to wybór spełnia. Bardzo pożyteczna jest też bibliografia i dodatek krytyczny Juliusza W. Gomulickiego, umieszczony na końcu tomiku. Wspomnienie Jerzego Zagórskiego o Hollendrze podaje szczegóły biograficzne z ostatnich lat życia poety — w formie od której nieco odwykliśmy, trącącej stylem Młodej Polski.

W konkluzji tej lektury trzeba powtórzyć słuszne słowa Maliszewskiego ze „Wstępu": „Dzisiaj, kiedy przeglądamy utwory Tadeusza Hollendra, ściska się serce z żałości, bo zginął poeta na progu najświetniejszego okresu tworzenia. Zginął człowiek — taki, jacy dziś są nam bardzo potrzebni w nowym etapie walki o odbudowę i przebudowę naszego kraju".

Janina Preger.

*) **Tadeusz Hollender.** Wiersze, satyry, fraszki. Wybrał i wstępem poprzedził Aleksander Maliszewski. Wspomnienie o autorze skreślił Jerzy Zagórski. Dodatek krytyczny opracował Juliusz W. Gomulicki. (Biblioteka Poetów i Esseistów. Związek Literatów Polskich, Zarząd Główny). „Książka i Wiedza", Warszawa 1949. Str. 141 i 3 nlb. Z portrtem autora. (Wydane z zasiłku Min Kultury i Sztuki).

EDMUND OSMAŃCZYK

P r z y

I.

Pociąg odchodził z Dworca Głównego o godzinie 22 minut 20. Na pięknym wagonie sypialnym „Orbisu" widniał napis: Warszawa — Berlin, Schlesischer Bahnhof. Jadący do Poznania kolega z „Głosu Wielkopolskiego" opowiadał mi z dumą, że był przy budowie tych pierwszych naszych wagonów sypialnych i napisał wtedy dłuższy reportaż o pracy naszych wagoniarzy. Uśmiechnąłem się. To, co obecnie w Polsce jest najbardziej urocze, to kwitowanie zachwytów nad jakimkolwiek ukończonym dziełem, zdaniem: „...e, co to dziś, ja byłem przy budowie!..." — Chciałem już o tym powiedzieć koledze z Poznania, gdy uwagę naszą zwrócił starszy wysoki pan, który serdecznie żegnał się w drzwiach wagonu z odprowadzającą go delegacją. „Herzlichsten Dank, liebe Freunde!" — Auf Wiedersehen!" — „Dowydzena!" — Po chwili wszedł do mego przedziału. Poznałem go natychmiast: profesor Otto Nagel, członek Niemieckiej Akademii Sztuk, w latach weimarskich artysta malarz, portrecista „czerwonego Weddingu", robotniczego przedmieścia Berlina. Był szereg dni na warszawskich obradach Komitetu Pokoju, teraz wracał do swej brandenburskiej ojczyzny. Z opowiadań o wrażeniach z podróży po Polsce przeszliśmy do wrażeń z Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki, po czym wplątaliśmy się bez trudu w niekończącą się dyskusję o współczesnym malarstwie. A w toku dyskusji opowiedział nam Otto Nagel następującą swoją historię:

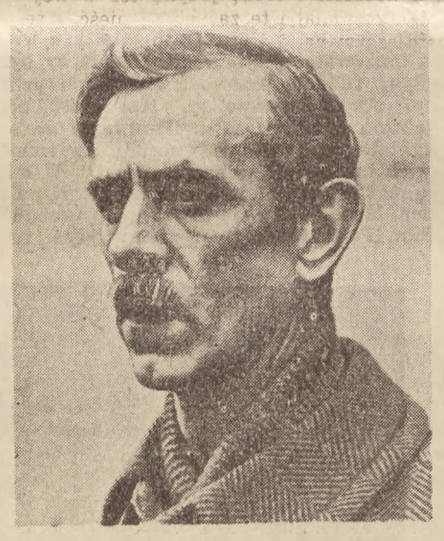

Prof. Otto Nagel

„W r. 1945 zostałem wciągnięty do pracy organizacyjnej Związku Odrodzenia Kulturalnego Demokratycznych Niemiec w Brandenburgii. Wiecie, jak trudne były warunki pracy wówczas, wiecie ,ile energii trzeba było zużywać na łączenie ludzi i wychowywanie ludzi. Trzeba było jeździć, organizować koła, przemawiać, dyskutować, przekonywać, zdobywać. Każdy rok zwiększał zakres pracy. Prócz Kulturbundu, piastuję jeszcze mandat poselski do Landtagu Brandenburgii, a więc ciąży na mnie obowiązek współpracy w budowie zrębów nowej demokratycznej państwowości. Na malarstwo czasu już nie starczyło. Aż przyszedł rok 1949, wielka mobilizacja inteligencji twórczej w Republice i wtedy ktoś się w Partii zapytał: a dlaczego właściwie nie maluje nic Nagel? — Tłumaczenia nie pomogły, musiałem znów sięgnąć do palety, a co trudniejsze, patrzeć na ludzi znów okiem malarza. Trudność polegała na tym, że w ciągu tych długich lat niemalowania zmienił się wyraz twarzy moich modeli. To nie byli ci sami robotnicy Weddingu, których mogłem rysować z pamięci. Wyrosło nowe pokolenie w nowych warunkach, o nowej treści wewnętrznej. Trud mój polega dziś na uchwyceniu tej przemiany, która zaszła w nowych ludziach nowych Niemiec. Bluzę robotniczą narysować łatwo. Ale twarz... Dam konkretny przykład: wiecie. że istnieje u nas nowa zupełnie policja — „Volkspolizei", złożona głównie z robociarskich młokosów. Któregoś dnia zwróciłem uwagę na dwudziestoletniego takiego policjanta. Zrobiłem portret. Podkreśliłem mundur, aby przekonać się, co przeważy: twarz czy mundur. Potem obok zdecydowałem się dać portret robotnika. Poszedłem do fabryki i schwyciłem rówieśnika mego policjanta. I dopiero wtedy, gdy ci dwaj — jeden w mundurze, drugi w bluzie robotniczej — wsparci o siebie pozostali

GEORGE BIDWELL

Dokąd idzie Anglia

Herbatę przywieziono do Bostonu z Indii. Miała odświeżyć spragnione gardła i spierzchnięte usta ciężko pracujących farmerów w koloniach angielskich w Ameryce. Farmerzy gotowi byli płacić za nią brytyjskiemu kapitaliście, wyzyskującemu hinduską pracę, dobrą cenę. Ale gdy lord North oznajmił, stosownie do rozkazów autokraty na angielskim tronie, Jerzego III, że obciąża cenę herbaty podatkiem, z którego dochód pójdzie na utrzymanie stałej armii brytyjskiej w Ameryce — wówczas farmerskie poczucie sprawiedliwości przezwyciężyło pragnienie. Historycznego poranka w 1773 r. koloniści napadli na port bostoński i zmącili niebieskie wody zatoki wysypując do morza, skrzynia po skrzyni, cały ładunek herbaty: symbol ich niewoli. Nazwa „Boston Tea Party" jest po dziś dzień hasłem ludzi dążących do wolności, do zrzucenia więzów kolonialnego niewolnictwa.

Oznaki narastającego konfliktu były już widoczne osiem lat wcześniej. Brytyjczycy postanowili utrzymywać w Ameryce stałą armię, teoretycznie dla ochrony kraju przed Francuzami, gdyby ci pokusili się o wznowienie swoich kolonialnych aspiracyj w Nowym Świecie. Premier brytyjski chciał zdobyć sobie fundusze na utrzymanie tej armii opodatkowując amerykańskich kolonistów. Zastosował — dziś powszechnie znany — trick kapitalistyczny, polegający na oszukiwaniu podatnika przez nałożenie obciążenia pośrednio, jako dodatku do ceny artykułów spożywczych. Wybór padł, między innymi, na herbatę.

Koloniści amerykańscy nie byli reprezentowani w angielskim parlamencie. Około roku 1773 rzucili hasło: „Nie ma podatków bez udziału w parlamencie". U podstaw ich niechęci do Anglii leżało przeświadczenie, że zależność od imperium brytyjskiego oznacza ograniczanie ich handlu zagranicznego i ich przemysłu na korzyść zazdrosnych kupców angielskich.

Najcenniejsze produkty amerykańskich kolonii — tytoń z Wirginii, ryż z Północnej i Południowej Karoliny, cukier z Indyj Zachodnich, smoła i drzewo z Nowej Anglii — mogły być eksportowane tylko do Anglii i Szkocji. Import, kontrolowany i regulowany potrzebami handlu brytyjskiego, był dozwolony tylko z imperium. Rozwój amerykańskiego przemysłu był powstrzymywany wszędzie, gdzie tylko mógł narazić na szwank interesy przemysłu brytyjskiego: przetapianie rudy żelaznej osiągnęło pewien stopień rozwoju, ale dalsza przeróbka żelaza i stali była zabroniona. Nieobrobione żelazo musiało być wysyłane do Anglii okrętami — a opłaty frachtowe szły do kieszeni właścicieli okrętów, brytyjskich magnatów, po czym amerykańscy koloniści kupowali je z powrotem w postaci gotowych fabrykatów.

Między stosunkiem Wielkiej Brytanii do jej amerykańskich kolonii w trzecim ćwierćwieczu osiemnastego stulecia a stosunkiem Stanów Zjednoczonych do ich ekonomicznego wasala, Wielkiej Brytanii, na początku trzeciego ćwierćwiecza dwudziestego wieku istnieje rzucająca się w oczy analogia.

Tom Paine w swym sławnym dziele „Wiek Rozumu", które stało się ewangelią walczących o niepodległość żołnierzy amerykańskich, udowadniał:

„Ameryka jest tylko drugoplanowym przedmiotem systemu polityki angielskiej. Anglia bierze pod uwagę dobro tego kraju o tyle, o ile odpowiada to jej własnym interesom. A jej interes nakazuje hamowanie naszego rozwoju w każdym wypadku, gdy to nie przynosi jej korzyści lub w najmniejszym stopniu z jej korzyścią koliduje."

W Anglii owego czasu polityką zagraniczną kierowała opinia szlachty, wielkich właścicieli ziemskich, podczas gdy w ówczesnej Ameryce opinia polityczna, żywo reagująca na zewnętrzne wpływy, była głosem amerykańskiego ludu, krzepkich farmerów i drobnych sklepikarzy. Wewnętrzną opozycję wobec idei amerykańskiej niepodległości stanowili amerykańscy wielcy kupcy i przedstawiciele wolnych zawodów, którzy przeważnie mieli w Anglii wspólników, kapitały i różnego rodzaju finansowe interesy.

W roku 1775 wybuchła Wojna o Niepodległość. Gdy skończyła się — latem, była to wojna miłujących wolność ludzi przeciw rutynie zawodowych żołnierzy, zimą, walka zawziętego uporu i wytrzymałości z mrozem, głodem i chorobami — wówczas ujrzano nie tylko narodziny nowego niepodległego narodu amerykańskiego, ale również załamanie rządów autokraty, hanowerczyka Jerzego III w Wielkiej Brytanii.

Tak zakończyła się niewola amerykańskich kolonistów gnębionych przez posępnego „faraona angielskiego".

Ale choć amerykańscy koloniści wywalczyli sobie niezależność od korony angielskiej, to jednak korzenie niewolnictwa tkwiły głęboko pośród nich samych. Początki niewolnictwa w Ameryce datują się od roku 1619, gdy pewien plantator tytoniu zakupił na holenderskim okręcie grupę Murzynów. W roku 1790 w jednym tylko stanie Wirginia było już 200.000 murzyńskich niewolników i Jefferson, dążący do wydania ustawy o zniesieniu niewolnictwa, powiedział: „Gdy pomyślę, że Bóg jest sprawiedliwy, drżę o los mojego kraju". Ci, którzy rządzili Ameryką, nie posłuchali Jeffersona — ani Emersona, ani Longfellowa czy Whitmana — aż nadszedł rok 1865 i ludność stanów północnych powstała przeciwko właścicielom niewolników z Południa w krwawej wojnie domowej, zwanej Wojną Secesyjną.

W tym właśnie okresie rozpoczęła się walka konkurencyjna między amerykańskimi i brytyjskimi kapitalistami — walka nieunikniona między dwiema kapitalistycznymi potęgami mającymi na celu wyłącznie zysk niewielu a nigdy dobro ogółu. Kapitalizm amerykański codziennie zyskiwał na sile, ale przez szereg lat kapitaliści brytyjscy trzymali się wciąż w oparciu o swe potężne zamorskie inwestycje. Dalekomorskie transporty również znajdowały się w ręku angielskich finansistów. Ale już z tej nieposłusznej kolonii, która wyłamała się spod władzy imperium, wyrastała tuż pod bokiem groźna konkurencja. Tylko okazało się, że wolność, o którą walczyli farmerzy i sklepikarze, nie była wolnością dla nich, lecz dla amerykańskiego „businessmana" w jego szaleńczej pogoni za dolarem; wolnością wyzyskiwania coraz liczniejszej masy robotników przemysłowych.

Już przed pierwszą wojną światową Stany Zjednoczone wyparły Wielką Brytanię z jej dominującego stanowiska w przemyśle światowym, chociaż potęga kolonialna i kierownictwo handlu międzynarodowego pozostały jeszcze w rękach brytyjskich. Walter Page, ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie, pisał do prezydenta Wilsona w roku 1913: „Przyszłość świata należy do nas. Ci Anglicy przejadają swój kapitał."

Pierwsza wojna światowa wybuchła i amerykańscy kapitaliści korzystając z europejskiego szaleństwa rzucili się zbijać majątki. Ameryka do ostatniej chwili zachowała neutralność, która umożliwiała jej magnatom podwajanie i potrajanie fortun. Z przedwojennego dłużnika, Stany Zjednoczone przekształciły się po pierwszej wojnie światowej w wierzyciela na wielką skalę. Plan Dawesa — blady i nieśmiały poprzednik planu Marshalla — wprowadził Stany Zjednoczone na zagraniczne rynki zbytu. Między rokiem 1920 a 1939 Brytania osuwała się w głąb stale powiększającej się otchłani kryzysu, podczas gdy businessmani amerykańscy siedzieli na workach pieniędzy, rozbudowywali swe przedsiębiorstwa i administrację, rabowali inne kraje z ich zapasów złota i wdzierali się na rynki brytyjskie.

Od początku drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone zaledwie maskowały swój zamiar opanowania Brytanii, sprowadzenia jej do roli wasala a jej ludności do stanu niewolnictwa za długi. Wielka Brytania ponosi dużą część odpowiedzialności za wybuch drugiej wojny światowej. W czasie, gdy zdecydowana męska postawa wspólnie ze Związkiem Radzieckim i Francją byłaby wsadziła do klatki wściekłe zwierzę hitleryzmu, Brytania usiłowała je przekupić, ofiarowując mu na pożarcie, jeden po drugim, bezbronne kraje. Ale poza bojaźliwym Chamberlainem kryła się bestia nie mniej żarłoczna niż ta, wobec której stanął on w Monachium i w Godesbergu. Przemawiając na plenarnym zebraniu Stowarzyszenia Amerykańskich Banków Inwestycyjnych dnia 10 grudnia r. 1940, Virgil Jordan, prezes Krajowej Rady Przemysłowej Stanów Zjednoczonych, głównej organizacji amerykańskiego wielkiego kapitału, oświadczył:

„Jakikolwiek będzie wynik wojny, Ameryka wstąpiła już na drogę wielkiej kariery imperialistycznej zarówno w polityce światowej jak w każdej innej formie życia. Jeżeli nawet dzięki naszej pomocy Anglia uniknie klęski — to zubożeje i straci na prestiżu tak bardzo, że jest nieprawdopodobne, aby utrzymała lub odzyskała dominujące stano-

STEFAN ARSKI

Zmowa grabieżców

Gra, która się toczy między łajdacką trójką w trójkącie Piłsudski — Churchill — Denikin, jest w gruncie rzeczy ordynarnym targiem o podział łupów. Każdy z jej uczestników ma tu swe własne interesy i zamiary na oku i pragnie oszukać pozostałych kontrahentów. I choć tym razem skóra nie tylko była jeszcze na niedźwiedziu, ale niedźwiedź miał się wkrótce dobrać do skóry swych prześladowców — łajdacka trójka kontynuowała wzajemne intrygi. Wszystkich trzech łączył w tym momencie cel wspólny: obalenie władzy radzieckiej i przywrócenie w Rosji panowania burżuazji. Ale każdy z partnerów pragnął przy tej sposobności inne wyciągnąć korzyści.

Piłsudski, stary, zajadły wróg rewolucji rosyjskiej — i wszelkiej innej — pragnął obalenia władzy radzieckiej, aby na jej gruzach burżuazja polska wespół z kapitałem angielskim mogła bezkarnie łupić „rynki wschodnie". Równocześnie zaś marzy mu się imperium polskie „od morza do morza", by na bagnetach jego wojsk obszarnik polski powrócił po ziemie białoruskie, litewskie i ukraińskie. Denikin pragnie obalenia władzy radzieckiej i przywrócenia władzy carskiej na wszystkich ziemiach dawnego imperium rosyjskiego. Nie chce więc nawet słyszeć o niepodległości Polski. Anglicy zaś, zainteresowani przede wszystkim w restauracji reakcyjnej Rosji stojącej otworem dla brytyjskiego kapitału, wolą się nie angażować na rzecz pretensji swych polskich satelitów, by nie narażać się Kołczakom, Denikinom i ich poplecznikom.

Ślepa nienawiść do rewolucji jest jednak chwilowo silniejsza niż wzajemne tarcia między trzema drapieżcami. Snują więc wspólnie plany łącznej akcji przeciwko władzy radzieckiej. W istniejącej sytuacji rząd angielski domaga się, by „wszystkie inne względy podporządkowane zostały naczelnemu celowi", tj. obaleniu władzy radzieckiej. Piłsudski i Denikin m u s z ą się dogadać jak najszybciej i wspólnie pomaszerować przeciw bolszewikom.

Z tą myślą poseł Rumbold zwraca się do Piłsudskiego. Przebieg rozmowy jest bardzo charakterystyczny. Na wstępie Piłsudski skarży się posłowi brytyjskiemu, że nie jest zupełnie pewny swych żołnierzy. Gdyby w wojsku rozeszła się wieść, że zawarł porozumienie z białymi generałami rosyjskimi, którzy znani są jako wrogowie niepodległości Polski, trudności wzrosłyby jeszcze bardziej.

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

„Generał Piłsudski — ciągnie poseł Rumbold — przeszedł następnie do omawiania sprawy wyekwipowania armii polskiej na froncie wschodnim. Oświadczył, że wygląda na to, iż alianci postanowili pozostawić Polskę samej sobie, zarówno jeśli chodzi o jej stosunki z Niemcami, jak i bolszewikami. W tej sytuacji generał Piłsudski nie może dłużej lekceważyć nastrojów swej armii. I jeśli tak jest, to wyciąga stąd wniosek, że Polsce nie pozostanie nic innego, jak samodzielnie uregulować swoje sprawy".

Poseł brytyjski naciska na Piłsudskiego, by wyrażał się jaśniej:

„Zapytałem wtedy generała, co ma na myśli mówiąc, że Polska będzie zmuszona szukać własnych sposobów rozwiązania istniejących trudności. Czy ma to oznaczać, że Polska doszłaby w końcu do porozumienia bądź z bolszewikami, bądź z Niemcami?"

Piłsudski odpowiada próbą szantażu:

„Piłsudski odrzekł, że wobec tego Polska będzie prawdopodobnie musiała dojść do jakiegoś porozumienia z Niemcami".

Poseł brytyjski zaczyna tłumaczyć Piłsudskiemu niewłaściwość takiego stanowiska. Piłsudski nie podejmuje jednak wyzwania. Rzucił pogróżkę i czeka, co z tego wyniknie. Raport posła Rumbolda brzmi:

„Piłsudski poniechał tego tematu, ale mój amerykański kolega, który rozmawiał z nim onegdaj, opowiedział mi później, że Piłsudski rozwodził się obszernie na temat swej idei porozumienia z Niemcami".

Jak widać, myśl współpracy z reakcyjnymi Niemcami nigdy nie odstępowała Piłsudskiego. Zaledwie stary agent imperializmu niemiecko-habsburskiego dorwał się do władzy w Polsce — w kraju, który oficjalnie należał do obozu alianckiego — już znowu marzy o dawnych związkach. Natura nieodparcie ciągnie wilka do lasu... Miało jednak upłynąć jeszcze kilkanaście lat, zanim przewrót hitlerowski w Niemczech w pełni otworzył przed Piłsudskim perspektywy powrotu na łono niemieckiego imperializmu.

Wróćmy jednak do roku 1919.

Piłsudski wypróbowuje z kolei drugą linię szantażu: rzuca aluzję o możliwości zawarcia pokoju z rządem radzieckim. Ale poseł brytyjski przejrzał grę: „Jestem skłonny powątpiewać, czy Piłsudski istotnie myśli o porozumieniu..." Poseł Rumbold nie ma więc wątpliwości co do prawdziwych intencji Piłsudskiego. Późniejsza rozmowa z Piłsudskim (depesza z 16 grudnia 1919 — cb. niżej) w pełni potwierdza, że Rumbold trafnie oceniał manewry swego rozmówcy.

Warto tu przytoczyć opinię posła brytyjskiego o sytuacji gospodarczej Polski w momencie, gdy jej wielkorządcy prowadzili rujnującą wojnę na wschodzie i snuli swe awanturnicze plany zaborcze. Pisze poseł Rumbold:

„... zbiory były nie tylko poniżej przeciętnych, ale bardzo się opóźniły... około 25 proc ziemniaków pozostało w ziemi... marka polska nieustannie traci na wartości i niesposób przewidzieć, kiedy jej spadek zostanie zahamowany. By finansować wojnę na wschodzie i konieczny import, rząd polski nieustannie powiększa obieg pieniężny. Inflacja powoduje wzrost cen. Brak taboru kolejowego uniemożliwia zaopatrzenie miast w węgiel. Zbieg tych wszystkich czynników powoduje, że sytuacja w kraju jest raczej ponura. By użyć wyrażenia przypisywanego jednemu z oficerów sztabu Piłsudskiego, „wygląda na to, że rewolucja bolszewicka wybuchła nawet w niebie".

Poseł brytyjski a za nim rząd brytyjski nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do „pogróżek" Piłsudskiego na temat możliwości porozumienia z rządem radzieckim. W końcu listopada zapadła w Londynie decyzja wysłania do kwatery generała Denikina specjalnego przedstawiciela dyplomatycznego, który po drodze wstąpiłby do Warszawy i ostatecznie dogadał się z Piłsudskim na temat wspólnej z Denikinem ofensywy przeciwko Armii Radzieckiej. Wybór padł na posła do Izby Gmin, Halforda J. Mackindera.

Mackinder wyruszył w drogę zaopatrzony w instrukcje udzielone mu przez lorda Curzona a zatwierdzone przez gabinet brytyjski w dn. 2 grudnia. Odpowiednie pismo lorda Curzona do Mackindera głosi m. in.:

„Niniejszym komunikuję panu, że rząd Jego Królewskiej Mości pragnie, by udał się Pan do południowej Rosji w charakterze brytyjskiego przedstawiciela politycznego w kwaterze głównej generała Denikina, i mianuje Pana w tym celu Wysokim Komisarzem brytyjskim.

„Polityka Rządu JKM zmierza do popierania generała Denikina jako jedynej siły zdolnej do stworzenia w Rosji trwałego rządu".

Po szczegółowym wytyczeniu zadań Wysokiego Komisarza, następuje polecenie:

„Powinien Pan uczynić wszystko, by nawiązać przyjaźń między generałem Denikinem a rządem polskim".

Uzbrojony w takie pełnomocnictwo i takie instrukcje, Mackinder wyrusza w pierwszych dniach grudnia do Noworosyjska, gdzie rezydował generał Denikin.

Moskwa walczy o pokój

Tymczasem rząd radziecki, przeniknięty duchem szczerej woli pokoju i porozumienia, kieruje raz po raz propozycje pokojowe do rządu polskiego. Nie zważając na tak zbrodnicze prowokacje, jak wymordowanie na terenie Polski misji radzieckiego Czerwonego Krzyża (30 grudnia 1918), rząd radziecki przez cały rok 1919 kontynuuje próby uregulowania stosunków radziecko - polskich. Piłsudski w sposób wykrętny uniemożliwia podjęcie rokowań. Wreszcie następuje ofensywa Piłsudskiego na Wilno. Mimo to, rząd radziecki ponawia propozycje wznowienia rokowań, pod warunkiem że wojska polskie wstrzymają kroki zaczepne.

Równocześnie rząd polski systematycznie okłamuje społeczeństwo polskie, ukrywa przed nim pokojowe intencje rządu radzieckiego i zataja jego kolejne propozycje pokojowe. I tak, 28 listopada 1919 roku wiceminister spraw zagranicznych Władysław Skrzyński odpowiadając na interpelację sejmową stwierdza kłamliwie, jakoby rząd republiki radzieckiej nigdy nie zwracał się do Polski z propozycjami pokojowymi i jakoby groził Polsce inwazją. W związku z tym rząd radziecki w dniu 22 grudnia jeszcze raz występuje z propozycją zawarcia pokoju, wyrażając równocześnie zdziwienie, że polski wiceminister spraw zagranicznych wprowadza w błąd opinię publiczną. Rząd radziecki wyraził gotowość natychmiastowego wszczęcia rokowań celem zawarcia pokoju i prosił rząd polski o wskazanie miejsca i daty rozpoczęcia negocjacji.

Jaka była rzeczywista reakcja rządu polskiego na propozycje radzieckie, o tym dowiadujemy się znowu z depeszy posła Rumbolda do lorda Curzona z dn. 31 grudnia r. 1919:

„Rząd polski otrzymał radiogram zawierający propozycje zawarcia pokoju i prośbę o wskazanie daty i miejsca konferencji pokojowej.

Ta propozycja bolszewików jest raczej kłopotliwa dla rządu polskiego... Niewątpliwie rząd polski odrzuci propozycje bolszewickie."

Dnia 17 stycznia 1920 roku poseł Rumbold wysyła następną depeszę na ten sam temat:

„Premier polski poinformował mnie dziś, że rząd polski wysłał prowizoryczną odpowiedź bolszewikom, która wyjaśnia, że rząd polski nie może udzielić definitywnej odpowiedzi na radzieckie propozycje pokojowe, dopóki nie naradzi się z państwami sojuszniczymi.

Premier oświadczył, że jest to chyba najlepszy dowód, iż Polska nie zamierza nic w tej sprawie uczynić bez porozumienia z aliantami. Premier dodał, że Polska odnosi się ze wstrętem do myśli zawarcia pokoju z bolszewikami, ale ma do wyboru albo zawarcie pokoju albo doprowadzenie wojny do zwycięskiego końca. Żeby jednak osiągnąć ten ostatni cel, Polska musi otrzymać od aliantów pomoc w postaci sprzętu wojennego i taboru kolejowego. Ponadto rząd polski będzie musiał przekonać naród i wojsko polskie, że dalsze prowadzenie wojny leży w interesie Polski."

Jak widać Piłsudski nadal uprawia swój szantażyk wobec mocarstw zachodnich. Podkreślając swój „wstręt do myśli zawarcia pokoju" z Republiką Radziecką, zaznacza jednak, że będzie musiał swój wstręt przezwyciężyć, gdy nie dostanie odpowiedniej pomocy. Anglicy wyciągnęli jednak z całej tej intrygi wniosek zupełnie prawidłowy: że rząd polski nie ma zamiaru dojść do porozumienia z rządem radzieckim i pragnie dalej prowadzić wojnę.

Emisariusz wojny i kontrrewolucji

Sir H. Mackinder wyruszył z Londynu dn. 4 grudnia 1919 roku. Warto zapoznać się z przebiegiem jego podróży i listą osób, z którymi zetknął się po drodze.

Pierwszy postój miał miejsce w Paryżu. Tu spotkał się Mackinder z czterema czołowymi przedstawicielami białej emigracji rosyjskiej, pp. Sazonowem — byłym rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, Makłakowem, Sawinkowem — znanym awanturnikiem politycznym, terrorystą, prowokatorem i szpiegiem, i z księciem Lwowem, byłym premierem rządu tymczasowego. Ponadto odbył rozmowę z wielkim finansistą rosyjskim Jaroszyńskim. Dłuższą rozmowę przeprowadził też Mackinder z wodzem endecji, Romanem Dmowskim.

10 grudnia Mackinder w towarzystwie gen. bryg. Keyesa przybył do Warszawy. Tu przeprowadził długie rozmowy z Piłsudskim, Paderewskim oraz baronem Roppem, byłym arcybiskupem petersburskim.

Z Warszawy pan Mackinder udał się do Bukaresztu, gdzie rozmawiał z premierem rumuńskim Vaidą oraz znanymi nam dobrze z późniejszych wydarzeń politycznych w Rumunii — reakcyjnym działaczem „chłopskim" Maniu i generałem Averescu. Tu też dowiedział się Mackinder, że generał Greenly, szef brytyjskiej misji wojskowej w Bukareszcie wyruszył w podróż do generała Denikina, by nakłonić go z kolei do zawarcia porozumienia z rządem rumuńskim.

Następnie Mackinder zawadził o Sofię, gdzie odbył rozmowę z królem bułgarskim, i 28 grudnia przybył do Konstantynopola. Tu dowiedział się, że wojska generała Denikina znajdują się w pełnym odwrocie. Francuscy rzeczoznawcy wojskowi na miejscu poinformowali go jedak, że chodzi tu o odwrót „strategiczny"... Uspokojony nieco, wysłannik brytyjski wyruszył w dalszą drogę.

Dnia 1 stycznia 1920 r. przybył do Noworosyjska, gdzie mieściła się kwatera Denikina. Ale nie zastał tu swego kontrahenta, który przebywał właśnie na froncie. Dopiero 9 stycznia nastąpiło spotkanie na stacji Tichoreckaja pod Jekaterynodarem.[5])

(dokończenie na str. 6)

[5]) Dziś Krasnodar.

budowie

NOTATKI KORESPONDENTA

na mym portrecie, przekonałem się sam, że obaj wyglądają jak bracia, mimo odmiennych rysów, mimo odmiennych ubiorów, że w obu twarzach jest coś nowego... Ale wierzcie mi, że uchwycić to nowe nie było łatwo".

Profesor skończył, a ja zasypiając w wygodnym „orbisowym" łożu powtórzyłem sobie polską formułkę: „...trzeba najpierw samemu było być przy budowie!"

II.

Ulicami Berlina przeciągał pochód pierwszomajowy. Pochód trwał osiem godzin. Co godzina sto tysięcy ludzi przesuwało się przez Unter den Linden i przed trybunami na placu zamkowym. Las sztandarów i transparentów, niesionych przez grupy mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt, płynął ulicami wschodniego Berlina. Za Bramą Brandenburską, gdzie przez dwie godziny odbywał się wiec rewizjonistów na którym Mr. Irwing Brown, „przedstawiciel robotników amerykańskich", nawoływał robotników niemieckich do solidaryzowania się z kapitalistycznym Zachodem przeciwko socjalistycznemu Wschodowi, oddawna już nie było nikogo, kiedy wielotysięczny tłum stojący wzdłuż Unter den Linden i na placu zamkowym ciągle jeszcze wiwatował na cześć ciągnącego pochodu. Była już bodaj druga po południu, kiedy przejeżdżał w pochodzie sznur samochodów ciężarowych, na których pobudowano małe sceny berlińskich teatrów. Na jednej z platform jechał zespół „Deutsches Theater". Z wszystkich stron rozległy się brawa i szum powtarzanego nazwiska: „Weigel, Helene Weigel". Przejeżdżało jednocześnie wielu aktorów i aktorek, znanych z filmu, teatru, radia, przystojnych, pięknych, tych z pensjonarskich czy sztubackich albumów, a mimo to tylko to jedno nazwisko nieumalowanej, brzydkiej, starszej kobiety ubranej w ciemną zwykłą bluzkę zapiętą pod szyję i szarą, szeroką spódnicę, powtarzano jak w zachwyceniu. Weigel stała na wozie i odpowiadała na okrzyki wzniesioną w górę pięścią zaciskającą czerwoną chustę. Odtwórczyni najbardziej wstrząsającej roli w Teatrze Niemieckim, Helena Weigel była w tym geście naprawdę piękna. Każdy kto ją pamiętał, gdy, jako „Mutter Courage" traciła kolejno wszystkich synów w wojnie, a wreszcie i córkę jedyną też w wojnie, ten rozumiał i tę zaciśniętą pięść, i tę chustę czerwoną, i sens tego ludzkiego gestu w pochodzie pierwszomajowym, demonstrującym przeciw wojnie a za pokojem. — Ale poza tym wszystkim należało by stwierdzić, że odbywa się jakieś głębokie przesunięcie pojęcia piękna w masach samych. Nieodwołalnie mija czas uznania dla samego talentu. Dziś temu tylko poklask jest dany, kto potrafi wyrażać piękno walki milionów ludzi. Piękny głos, piękna dykcja, piękna aparycja, talent piękny — wszystkiego aż za wiele na filmowe kontrakty, lecz za mało, by mogło zastąpić obowiązek wyrażania treści życia i walki milionów ludzi. I temu tylko artyście — obojętne, jakiej dziedziny sztuki, — który obowiązek ten pojął, zapewniona jest przyszłość w nowym świecie zmienionych ludzi. A że się ludzie zmieniają, stwierdzić łatwo. Przyjrzyjcie się tylko bacznie w Niemieckiej Republice czy w Polskiej Rzeczypospolitej twarzom ludzi, którzy są „przy budowie".

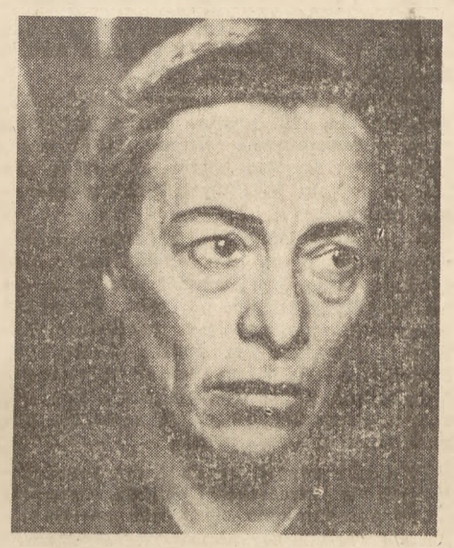

Helena Weigel w „Mutter Courage und ihre Kinder" Berta Brechta w „Deutsches Theater"

Edmund Osmańczyk

---

wisko w polityce światowej, które tak długo było jej udziałem. W najlepszym razie Anglia będzie mogła zostać młodszym wspólnikiem w nowym anglosaskim imperium, którego środkiem ciężkości będzie potęga gospodarcza, wojskowa i morska Stanów Zjednoczonych... Berło przechodzi do rąk amerykańskich!"

Straty ludności w Stanach Zjednoczonych z powodu ostatniej wojny wynoszą 322.188 osób na ogólną liczbę mieszkańców 140.000.000 — a straty imperium brytyjskiego 412.240 osób; te dwie cyfry razem równają się 0,1 strat Związku Radzieckiego. Ameryka nie była narażona na zniszczenia wojenne a jej kapitaliści robili fantastyczne interesy: ich wzbogacenie wojenne wyniosło 50 tysięcy milionów dolarów już po zapłaceniu podatków. Pod koniec wojny zdolność produkcyjna przemysłu amerykańskiego wzrosła o 50 proc., rezerwy kapitału nagromadziły się do sumy 85 tysięcy milionów dolarów a kapitaliści amerykańscy opanowali dawne brytyjskie rynki zbytu. Kapitał amerykański objął kontrolę 60 proc. zdolności produkcyjnej świata kapitalistycznego, a 73 proc. zdolności inwestycyjnej. Jeden tylko typowy przykład sytuacji w eksporcie: przed wojną udział Wielkiej Brytanii w światowym eksporcie materiałów tekstylnych wynosił 28 proc., a Stanów Zjedn. 4 proc. W roku 1947 udział Stanów wyniósł 40 proc., a W. Brytanii 14 proc.

Frachty dalekomorskie, które przez tyle lat walnie przyczyniały się do zrównoważenia budżetu brytyjskiego, ucierpiały również w czasie wojny, spadając z 18 do 17,8 milionów ton, gdy tonaż amerykański wzrósł z 15 milionów ton do 32,4 milionów ton w roku 1947. Flota amerykańska, zarówno wojenna jak handlowa, zabrała brytyjskiej palmę pierwszeństwa. Waszyngtoński układ morski z r. 1922 ustalał równowagę między brytyjską i amerykańską flotą, ale w 1947 r. Brytyjczycy mieli już tylko 1.200.000 tonażu okrętów w porównaniu z 3.800.000 Amerykanów. Brytyjskie panowanie nad morzami świata zachodniego jest dzisiaj tylko legendą przeszłości, historyczną balladą bez znaczenia dla dnia dzisiejszego. A skończyło się nie dlatego, że marynarze brytyjscy są mniej dzielni i odważni niż dawniej, lecz dlatego, że w kapitalistycznej dżungli wielkie przedsiębiorstwa zawsze w końcu będą połknięte przez jeszcze większe przedsiębiorstwa.

Ale wciąż jeszcze w posiadaniu Wielkiej Brytanii było coś, na co mieli apetyt amerykańscy kapitaliści. Wielka Brytania miała kolonie. To znaczy, miała rynki zbytu, szlaki i bazy handlowe, źródła surowców i tereny dla inwestycyj. Amerykańscy kapitaliści przestudiowali tę sytuację. Odpowiedź była wiadoma. Kartele Stanów Zjednoczonych były przeładowane niewyzyskanym kapitałem, którego nie było gdzie inwestować na zbyt ciasnym własnym terytorium kolonialnym (125 tys. km² i 19 milionów mieszkańców). Virgil Jones w roku 1940 nakreślił politykę. Departament Stanu ubrał ją tylko w inne piórka, wypożyczając sobie slogan, który był bez przydziału od upadku hitleryzmu: nazwano amerykańską dominację anglosaskiego imperializmu „frontem antysocjalistycznym i antykomunistycznym".

Poza przejrzystą zasłoną wymierzono pierwszy cios brytyjskiemu imperializmowi. „Zimna wojna" była przede wszystkim prowadzona przez kapitał duszący się w skarbcach banków amerykańskich, przeciw szlakom handlowym i surowcom brytyjskiego imperium. Zaledwie ucichły ostatnie wystrzały drugiej wojny światowej, Stany Zjednoczone odwołały Lend-Lease i uchyliły wewnętrzne ograniczenia cen. Rezultatem była natychmiastowa zwyżka cen w Ameryce. Brytania musiała płacić gotówką w dolarach olbrzymie sumy za wszystkie artykuły potrzebne do odrodzenia jej handlu i przemysłu.

Politycy angielscy nie potrafili ani zrozumieć motywów ani — tym mniej — uniknąć następnego ataku amerykańskiego. Nieświadomy, niczego nie podejrzewający naród angielski skierowano na drogę, nieuchronnie prowadzącą do ostatecznej katastrofy finansowej. Jedynie radykalna zmiana ustroju ekonomicznego i społecznego oraz linii politycznej mogła tę katastrofę odwrócić.

Tym następnym atakiem była amerykańska pożyczka powojenna. Gdyby W. Brytania odrzuciła pożyczkę, musiałaby zlikwidować wydatki na utrzymywanie wojsk w koloniach. Wydatki te stanowią olbrzymi odsetek — 70 proc. — całego jej powojennego deficytu. Przyjęcie pożyczki zahamowało odbudowę kraju, pozwalając labourzystowskim politykom utrzymywać za morzami półtora miliona ludzi potrzebnych w kraju na budowach i fabrykach a tam zajętych gnębieniem ludów kolonialnych. Przyjęcie pożyczki i związanych z nią warunków uniemożliwiło Brytanii nawiązanie stosunków handlowych z Europą Wschodnią i własnym imperium, jak tego żądał lud angielski, powierzając w wyborach roku 1945 rządy w kraju Partii Pracy. Ameryka celowo i świadomie planowała warunki powojennej pożyczki.

Następnym z kolei posunięciem w „zimnej wojnie" o ekonomiczne podporządkowanie Wielkiej Brytanii Stanom Zjednoczonym była doktryna Trumana planująca panowanie amerykańskie na Środkowym Wschodzie. Nawet „Daily Herald" pisał w dniu 15.III.47 o doktrynie Trumana: „Naszą pierwszą reakcją na mowę prez. Trumana był niepokój. Dalsze rozważania nie przynoszą uspokojenia".

Ale brytyjscy labourzystowscy politycy przyjęli mowę grzecznie i potulnie. Przed dwustu laty ci Amerykanie, którzy przeciwstawiali się walce farmerów o niepodległość, byli to wielcy kupcy i wolne zawody. Tak samo dziś głos giełdy londyńskiej, zajętej zgarnianiem swych zysków, a nie uzdrawianiem deficytu brytyjskiego, gardłuje na rzecz Stanów Zjednoczonych, nakładających kajdany. Kapitaliści angielscy ujrzeli sposobność do zrobienia dobrego interesu. Cóż ich to obchodzi, że dobro ludu angielskiego wymaga wyswobodzenia się spod amerykańskiej kontroli, odwołania wojsk stacjonujących w koloniach i nawiązania stosunków handlowych z Europą Wschodnią i imperium?

Rok 1948 przyniósł plan Marshalla. Plan przewidywał utworzenie bezpośrednich amerykańskich organów kontrolujących gospodarkę w krajach marshallowskich i dostawę strategicznych surowców z imperium brytyjskiego. Tak więc Ameryka w wyniku swej zimnej wojny usadowiła się dokładnie tam gdzie chciała: w punkcie kontrolującym brytyjskie imperium.

A jeszcze tak niedawno mówiono robotnikom brytyjskim, że muszą tylko więcej produkować, zwiększyć eksport, zmniejszyć import, a deficyt dolarowy zniknie i wszystko będzie dobrze. Teraz Bevin i Shinwell tłumaczyli, że tylko dzięki amerykańskim kapitalistom Brytania nie ma półtora miliona bezrobotnych.

I oto te same więzy ekonomicznej zależności, które amerykańscy farmerzy odrzucili w walce na śmierć i życie, po dwustu latach nałożono na lud brytyjski. Do Londynu nadeszła długa lista artykułów, których Wielkiej Brytanii zabroniono eksportować. Hollywoodzkie filmy i magazyny zalały Anglię. Przyjechał amerykański administrator ekonomiczny i zainstalował się we wspaniałych biurach w sercu Londynu — po tym założył szereg pododdziałów, po tym zaczął sprowadzać coraz liczniejszy personel. W lutym r. 1948 pan administrator ekonomiczny mógł już zakomunikować Komisji Senatu dla Spraw Zagranicznych: „...plan budowy bloków mieszkalnych został poważnie zmniejszony; tak samo program służby zdrowia oraz plan oświatowy". Oto co otrzymał lud brytyjski jako skutek połączenia: obietnic Partii Pracy, chciwości City londyńskiej i niewolnictwa wobec amerykańskiego kapitału.

Od czasów Toma Paine'a stosunki anglo-amerykańskie dokonały zwrotu o 180 stopni. Ale to nie wszystko. Analogia z brytyjskimi wysiłkami podporządkowania sobie amerykańskich kolonistów z końca XVIII w. idzie jeszcze dalej. W sierpniu r. 1948 za okupacją ekonomiczną przyszła kolej na militarną. Na terenie Anglii umieszczono Trzecią Dywizję Wojsk Powietrznych Stanów Zjednoczonych, pozostającą pod wyłącznym i bezpośrednim dowództwem swojego sztabu „celem wykonywania wszelkich rozkazów otrzymywanych ze Sztabu Generalnego Stanów Zjedn." (Times, 24.8 1948). Memorandum Departamentu Marynarki Wojennej USA zawiera te słowa: „W wypadku wojny, w której bomba atomowa jest również w posiadaniu ewentualnego nieprzyjaciela, wysunięte bazy militarne mogą być przyrównane do pionków na szachownicy, chroniących króla szachowego: choć siła ich, wzięta pojedyńczo, jest znikoma, to jednak dopóki istnieją, sama ich obecność osłania i zabezpiecza króla".

Król, imieniem Wall Street, jest w szczęśliwym położeniu, bo kolaboracja giełdy londyńskiej z lokajami z Partii Pracy i konserwatystami zmienia Wielką Brytanię w pionka przeznaczonego na ofiarę na ołtarzu świętych interesów imperializmu amerykańskiego. I znowu słowa Paine'a pisane przed dwustu laty do amerykańskich kolonistów zawierają aktualne ostrzeżenie dla ludu brytyjskiego, uginającego się pod tyranią króla Wall Street:

„Zdrowy rozsądek powie nam, że mocarstwo, które usiłuje wtrącić nas w niewolę, jest ostatnim, od którego winniśmy spodziewać się obrony."

Ale zimna wojna kryje dalsze niespodzianki dla Wielkiej Brytanii chwiejąc-

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Widowisko które zostanie

„CUD MNIEMANY czyli KRAKOWIACY I GÓRALE“ — ta „opera narodowa“ Wojciecha Bogusławskiego, napisana tuż przed Insurekcją Kościuszkowską w 1794 roku, niemal zupełnie zatraciła swój wyraz artystyczny i swój sens polityczny w licznych późniejszych przeróbkach. Dopiero niedawno, dopiero w Polsce Ludowej, dopiero parę lat temu odszukano na nowo jej właściwe treści. Zrobił to Leon Schiller, dając scenom naszym trwałe dzieło reżyserskie, trwałą koncepcję inscenizacyjną, która stała się jeszcze jednym w historii teatru dowodem pracy reżyserskiej rzeczywiście twórczej i nie ginącej wraz z ostatnim spektaklem. Ten utwór wielkiego Bogusławskiego wystawiany był już w schillerowskiej inscenizacji w Łodzi, objechał wraz ze swym reżyserem i jego zespołem teatry w Czechosłowacji, wystawiany był w Katowicach, w chwili obecnej wystawiany jest w Państwowym Teatrze Narodowym Imienia Wojska Polskiego w Warszawie, pojawiać się będzie na pewno nieraz jeszcze w repertuarach naszych teatrów.

Toteż pisano już o tym wiele. Omawiano obszernie walory nowego ujęcia scenicznego, sens dokonanych przez inscenizatora wstawek, sens całego opracowania literackiego i widowiskowego, który konsekwentnie zmierzał do wydobycia właściwych, rewolucyjnych dla swojego czasu, treści utworu i do wzbogacenia jego barw ludowych. Zamazana w poprzednich przeróbkach postawa głęboko racjonalistyczna, narodowa i rewolucyjna, na której budował swój utwór Bogusławski — tu właśnie, w schillerowskiej koncepcji widowiska, stała się punktem wyjścia całego nowego opracowania.

Obecne przedstawienie, które oglądaliśmy na scenie Państwowego Teatru Narodowego Imienia Wojska Polskiego, nie odbiega zbyt daleko od pierwszego — w tym opracowaniu — spektaklu pokazanego nam parę lat temu w Łodzi. Teraz także spotkaliśmy się z reżyserią Schillera, z opracowaniem scenograficznym — z dekoracjami i kostiumami — Daszewskiego, z tymi samymi aktorami w niektórych rolach. Są jednak różnice — i podnoszące artystyczny poziom widowiska i obniżające go w niektórych wypadkach.

Dekoracje wydały mi się tym razem jeszcze lepsze. Przy całej swej „operowej umowności“ bardziej jednak żywe, realniej związane z ludowym kolorytem wydarzeń scenicznych, z pokazanym tu środowiskiem i regionem, wyraźnie mocniej skomponowane, pomimo nie zmienionej na pozór zasadniczej koncepcji plastycznej. Natomiast kostiumy — wprost olśniewające swoją rozrzutną barwnością—trochę mnie tym razem zaniepokoiły. Stylizacja ich w wielu wypadkach stanowczo zagubiła odpowiednie swe elementy ludowe. Przy trafnie i prosto narysowanym kostiumie starego Wawrzyńca — kostiumy Górali tym bardziej wydają się nierealne z punktu widzenia charakteru widowiska, przypominając raczej stroje Indian niż podhalańskiego ludu. Także stroje Krakowiaków przekraczają tu i ówdzie w swej stylizacji granice stylu, granice elementów realnych. A gdy stroje te poruszają się w układzie tańców Hryniewickiej — jak zawsze nadmiernie przestylizowanych, przestylizowanych aż do gubienia prawdy o naszych tańcach ludowych — cała sprawa zaczyna dziać się nie na tej ziemi. Siedząc na widowni, starałem się z najlepszą wolą odpędzać napastujące mnie widmo obrazów Zofii Stryjeńskiej. Ale w paru wypadkach nie udało mi się tego dokazać.

Jestem przekonany — przy całym uznaniu dla głębokiej wartości plastycznej wielu kostiumów i dla barwnej „fotogeniczności“ wszystkich — że gdyby i kostiumy te i tańce mocniej związane były z elementami realnymi, wspaniałość widowiska nie tylko by na tym nie ucierpiała, ale zyskała by

„Krakowiacy i Górale“ w teatrze Narodowym w Warszawie. Od lewej: Danuta Wodyńska, Stefan Śródka, Tadeusz Cygler. Reżyserował Z. Schiller, dekoracje i kostiumy Wł. Daszewskiego

(Foto. Hartwig)

tak, jak zawsze nie traci się artystycznie, lecz zyskuje, na prawdzie.

Aktorzy ani trochę nie wyrzekli się tej prawdy. Szczepkowski grał swą rolę studenta Bardosa z wielką naturalnością i z doskonałym narysowaniem tej politycznie kluczowej tu postaci. Uniknął wszelkiego rezonerstwa, prezentował sobą historyczność chwili w sposób ludzki i prosty. Wyszedłem — i nie ja jeden — po przedstawieniu przekonany, że tak właśnie rolę tę grać się powinno. A wywołanie na widowni takiego przekonania jest chyba zawsze największym sukcesem aktora.

Bonacka — jako Basia — utrzymała swoją przodującą i wyrazistą pozycję w zespole z takim samym wysokim artyzmem i bezpośrednio działającą naturalnością, jak i dawniej, przy innych okazjach wystawiania tego widowiska. W tym teatrze jednak ujrzymy w tej centralnej roli — jak program zapowiada — jeszcze dwie inne aktorki: Marię Krawczykównę i Halinę Głuszkównę. Już nie jako „przyzwyczajeni“ do dotychczasowej wykonawczyni tej roli — z tym większą ciekawością oczekiwać będziemy nowego ujęcia, nowego wyrazu dla tej postaci, wokół której kształtuje się cały konflikt sceniczny utworu Bogusławskiego.

Wodyńska jako Dorota bywała chwilami może trochę zbyt „eteryczna“, może trochę za mało ludowa, jak na postać wiejskiej młynarki z temperamentem, która chce wszystkich za nos wodzić. Jak zawsze doskonały i prawdziwy w charakterze był i Fertner jako młynarz Bartłomiej, i Śródka jako Jontek, i Cygler jako Bryndas — ów „Janosik“ ze świetnie uchwyconą, typową pychą góralską.

Natomiast Szczepański w roli Stacha nie przekonał nas zbytnio. Było coś chwiejnego w tej postaci, jak gdyby aktor nie zdecydował się jeszcze, jaki właściwie nadać jej charakter, jak ją skontrastować z innymi.

Na przedstawieniu, któ[illegible] widziałem, z ciekawością czekaliśmy na Surowę w groteskowej i nie pozbawionej celnych momentów satyrycznych roli organisty Miechodmucha. Stał się jednak jeszcze jeden cud w ramach utworu: wyszedł niestety ktoś inny i to niezbyt panujący nad tą charakterystyczną rolą. Był to zresztą również cud tylko mniemany.

O widowisku całym nie powiedzieliśmy tu wszystkiego, nie chcemy się powtarzać — pisano już o tym przez ostatnie lata niejednokrotnie. Dodajemy uwagi, które nasunęły się nam z okazji obecnego przedstawienia na scenie Teatru Narodowego. Tego teatru, w którego gmachu Bogusławski wystawił swój utwór ponad stopięćdziesiąt lat temu — i w którym dzisiaj znowu utwór ten gra żywymi barwami, ocalony przed zapomnieniem i odnowiony przez cześć okazaną naszym tradycjom postępowym i rewolucyjnym.

Juliusz Żuławski

ZMOWA GRABIEŻCÓW

(Dokończenie ze str. 5)

Z raportu brytyjskiego dyplomaty wynika, że panował tu kompletny chaos. Armia generała Denikina ogarnięta była paniką. Pod naciskiem ofensywy radzieckiej cofała się w nieładzie na całej linii. Mimo to Mackinder rozpoczął swe rozmowy. „Sytuacja na froncie — pisze w swym raporcie — kształtowała się jak najniepomyślniej“.

10 stycznia Mackinder spotkał się z generałem Wranglem, który wkrótce miał objąć dowództwo niedobitków białej armii po ucieczce Denikina. Pod osłoną kozaków Wrangla i oddziału żołnierzy rosyjskich wyruszył następnie dyplomata brytyjski do Noworosyjska, przedzierając się przez kraj opanowany przez oddziały partyzantów. W Noworosyjsku kontynuował rozmowy z „ministrami rządu Denikina“.

Tak mniej więcej przedstawia się dziennik podróży specjalnego wysłannika brytyjskiego do głównej kwatery generała Denikina. A teraz słów kilka o owocach jego wyprawy.

Piłsudski odkrywa karty

O przebiegu rozmów Mackindera w Warszawie informuje Londyn poseł Rumbold w depeszy z dnia 16 grudnia, w której donosi m. in.:

„Generał Piłsudski oświadczył, że choć bolszewicy byliby prawdopodobnie skłonni zawrzeć pokój... on sam z całą pewnością nigdy nie przystąpi do rokowań z nimi.

Generał Piłsudski wyraził pogląd, że w obecnym momencie organizacja wojskowa bolszewików góruje nad organizacją Denikina. To też zdaniem Piłsudskiego, Denikin nigdy nie zdoła obalić bolszewików na własną rękę.

Generał Piłsudski wyraził głębokie przekonanie, że armia polska mogłaby sama pomaszerować wiosną na Moskwę, ale on sam zapytuje siebie, co miałby robić po zajęciu Moskwy z punktu widzenia politycznego.

Odpowiedzieliśmy, że z tego właśnie względu konieczna jest współpraca z Denikinem. Piłsudski zgodził się z naszą opinią. Wskazaliśmy na fakt, że wojna przeciw bolszewikom jest wielkim ciężarem finansowym dla Polski. Skoro, jak sam stwierdził, nie ma zamiaru rokować z bolszewikami, logika nakazuje podjęcie decydujących kroków celem zawarcia porozumienia z Denikinem.

Piłsudski odparł, że choć ma przedstawiciela w kwaterze Denikina, wszelkie próby porozumienia się z nim spełzły na niczym, ponieważ Denikin w wymijający sposób odsyła we wszystkich sprawach do admirała Kołczaka.

W tym momencie pan Mackinder zaproponował, by generał Piłsudski wysłał do kwatery Denikina bardziej wpływową osobistość, jako swego przedstawiciela. Mackinder mógłby być z tym wysłannikiem w ścisłym kontakcie. Generał Piłsudski zrozumiał sens tej propozycji i oświadczył, że zastanowi się nad nią poważnie.

Zapytaliśmy wówczas, czy — gdyby Mackinderowi udało się przekonać Denikina o celowości porozumienia z Polską — Piłsudski zgodziłby się na spotkanie obu stron.

Generał Piłsudski zaproponował, by Denikin przyjechał do Warszawy. Odpowiedzieliśmy, że to byłoby raczej trudne. Zaproponowaliśmy spotkanie w połowie drogi, na przykład w Czerniowcach. Generał Piłsudski odniósł się przychylnie do tej propozycji.

Podsumowując: doprowadziliśmy do tego, że **Piłsudski wyraził nam wdzięczność za umożliwienie mu rokowań z Denikinem z perspektywą wojskowego współdziałania na wiosnę“.**

Pan Mackinder w swym własnym raporcie potwierdza raz jeszcze informacje zawarte w powyższej depeszy posła Rumbolda. W ujęciu Mackindera decydujący fragment rozmowy z Piłsudskim brzmiał jak następuje:

„Generał Piłsudski oświadczył mi, że jako generał uważa, iż mógłby sam pomaszerować na Moskwę w maju przyszłego roku. Ale, dodał jak polityk: „Co ja będę tam robił, kiedy tam dotrę?“ Odparłem, że oczywiście nie powinien tego robić inaczej, jak w sojuszu z białymi Rosjanami. **Uzgodniliśmy, że powinienem doprowadzić do konferencji pomiędzy rządem Piłsudskiego a rządem Denikina“.**

Tak więc obie relacje nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Piłsudski wyraził zgodę na porozumienie z Denikinem i był wdzięczny za utorowanie mu drogi do tego porozumienia.

Czy tylko Piłsudski? Legenda głosi, że tzw. obóz narodowy z endecją na czele różnił się od Piłsudskiego w poglądach na kwestię rosyjską. I temu kłam zadają dokumenty brytyjskie. Oto, jaki był przebieg rozmowy Mackindera z mężem zaufania obozu narodowego, Ignacym Paderewskim. Dnia 16 stycznia 1920 roku poseł Rumbold telegrafuje do lorda Curzona:

„Pan Mackinder i ja, po wizycie u generała Piłsudskiego, odbyliśmy długą rozmowę z panem Paderewskim. Pan Paderewski wyraził solidarność z poglądami generała Piłsudskiego... i **wyraził zgodę na rokowania z generałem Denikinem w celu doprowadzenia do skutecznej współpracy na wiosnę“.**

Uzbrojony w takie pełnomocnictwa ze strony Piłsudskiego i Paderewskiego, Mackinder rozpoczyna rozmowy z Denikinem. Trudność polega na tym, że zarówno Piłsudski jak i Denikin mają swe własne imperialistyczne plany, z których żadną miarą nie chcą zrezygnować. Piłsudski pragnie zagarnąć ziemie rosyjskie, ukraińskie i białoruskie aż po Dniepr, Denikin natomiast uporczywie trwa przy koncepcji białej Rosji w carskich granicach. Dopiero pod naciskiem pogarszającej się z każdą chwilą sytuacji na froncie i pod presją Mackindera — Denikin godzi się na ustępstwa. Nie sam wprawdzie, lecz za pośrednictwem swych „ministrów“ składa następującą deklarację:

„Uznaję **de facto** niezależność **rządów pogranicznych**, które prowadzą walkę przeciw bolszewikom“.

Trudno o bardziej nic nie mówiące sformułowanie. Nie ma tu nawet aluzji do niepodległości Polski.

Mackinder uważa jednak, że deklaracja ministrów Denikina jest wystarczająca. W raporcie swym podsumowuje wyniki rozmów z Piłsudskim i Denikinem w sposób następujący:

„Jestem przekonany, że istnieje obecnie podstawa do przeprowadzenia owocnych rokowań między generałem Denikinem a generałem Piłsudskim celem podjęcia wspólnych operacji przeciwko Rosji bolszewickiej“.

Raport Mackindera nosi datę 21 stycznia 1920 roku. Od jego rozmów warszawskich minął przeszło miesiąc. Piłsudski jednak nie tracił czasu. Dn. 23 stycznia poseł brytyjski w Warszawie doniósł lordowi Curzonowi o przebiegu rozmów między Piłsudskim a dwoma emisariuszami kontrrewolucyjnych ugrupowań rosyjskich, Czajkowskim i Sawinkowem. Jak widać, Piłsudskiemu tak było pilno, że nie czekając na wynik rozmów Mackindera, próbował dojść do porozumienia z kontrrewolucjonistami rosyjskimi na własną rękę. Gotów był zmawiać się nawet z tak notorycznym awanturnikiem, jak Sawinkow.

Oto wynik tych rozmów w oświetleniu depeszy brytyjskiego posła:

„Rozmawiałem dziś długo z Piłsudskim. Opowiadał mi przebieg rozmowy z panami Sawinkowem i Czajkowskim, którzy niedawno złożyli mu wizytę. Generał Piłsudski przedstawił im dwa plany: szerszy i węższy. Szerszy plan przewiduje sojusz wszystkich krajów leżących na pograniczu Rosji, łącznie z Polską i Finlandią a siłami antybolszewickimi w Rosji celem zwalczania bolszewizmu. Plan węższy ograniczał się jedynie do projektu uregulowania przyszłych stosunków między Polską a białą Rosją. Po dwóch dniach panowie Czajkowski i Sawinkow wyrazili zgodę na plan szerszy“.

A tymczasem ..

Kiedy jednak Sir Halford J. Mackinder na pokładzie H.M.S. „Centaur“ na wodach Morza Śródziemnego redagował swój raport, a Piłsudski snuł fantastyczne plany sojuszu z awanturnikami w stylu Sawinkowa, Armia Czerwona pędziła przed sobą rozbite hordy Denikina. Wnioski i projekty Mackindera i jego przyjaciół pisane były rzeczywiście na wodzie...

Wspólna wyprawa Denikina i Piłsudskiego na Moskwę nie doszła więc do skutku. Jak wiemy z cytowanych tu dokumentów — obie strony uknuły zbójecką zmowę przeciwko narodom radzieckim i narodowi polskiemu. Plany ich pokrzyżowała Armia Radziecka.

Klęska Kołczaka, Judenicza i Denikina wywołała konsternację w kołach rządzących mocarstw zachodnich. Wśród żołnierzy alianckich korpusów ekspedycyjnych w Rosji coraz głośniej rozlegają się szemrania przeciwko ówczesnej „brudnej wojnie“. Marynarze francuskiej floty wojennej wysłanej do Odessy podnoszą bunt i wywieszają czerwone sztandary na masztach. Równocześnie wzmaga się nacisk opinii publicznej w krajach alianckich. Mnożą się protesty i demonstracje przeciwko interwencji w Rosji. W tej sytuacji, rząd brytyjski w obliczu całkowitej porażki swej polityki, decyduje się na zaniechanie dalszej interwencji w Rosji. Władcy Wielkiej Brytanii szukają nowych metod kontynuowania swej antyradzieckiej polityki.

26 stycznia 1920 roku premier brytyjski Lloyd George w rozmowie osobistej informuje oficjalnie polskiego ministra spraw zagranicznych Patka o zmianie kursu polityki brytyjskiej i zawieszeniu interwencji zbrojnej w Rosji. Mimo to Piłsudski trwa nadal przy swych obłąkanych planach. Wszak nie tak dawno jeszcze chełpił się, że mógłby sam pomaszerować na Moskwę. Prowadzi w dalszym ciągu swą zaborczą wojnę przeciwko Republice Rad.

*

Na tym kończą się wydarzenia objęte omawianym przez nas tomem zbioru dokumentów. Dalsze dzieje wojny roku 1920 wykraczają poza ramy zakreślone niniejszym artykułem. Polityka Piłsudskiego w r. 1920 jest po prostu kontynuacją jego polityki w r. 1919, którą w tak jaskrawym świetle przedstawiają dokumenty brytyjskie. Jest kontynuacją tej linii, którą Piłsudski i piłsudczyzna obrali w zaraniu swej działalności i której pozostali wierni aż do wrześniowego końca. Jest polityką służby interesom obcych imperialistów i zdrady interesów narodowych. Z nieporównaną łatwością ten rutynowany agent obcych imperializmów przerzuca się od koncepcji Polski beselerowskiej do koncepcji Polski denikinowskiej, by potem po latach nawrócić znowu do współpracy z Berlinem, tym razem już hitlerowskim. Wszystko i zawsze w imię walki z rewolucją.

Piłsudski szedł po tej drodze, spychając naród polski w otchłań katastrofy. Jeżeli dziś po 30 latach — mimo Piłsudskiego, piłsudczyzny, sanacji i całej reszty polskiej reakcji — naród polski żyje, cieszy się wolnością i zdąża ku socjalistycznej przyszłości, to zawdzięczamy to przede wszystkim Związkowi Radzieckiemu, narodowi radzieckiemu, żołnierzowi radzieckiemu. Zawdzięczamy to tym siłom Wielkiej Rewolucji Październikowej, przeciw którym Piłsudski knuł podstępne zmowy i prowadził napastniczą wojnę.

Stefan Arski

---

cej się pod ciężarami narzuconymi przez amerykański „big business“. Czwarty punkt planu Trumana, ogłoszony w styczniu r. 1949 ujawnia amerykański zamiar penetracji i opanowania imperium brytyjskiego siłą dolara. Acheson wymienił Indie jako jedno z terytoriów, które powinny szczególnie przyciągnąć zainteresowanie amerykańskich kapitalistów.

Tymczasem robotnicy brytyjscy pracowali — i od połowy r. 1947 do połowy 1949 r. zwiększyli produkcję o 17 proc; w tym samym czasie zyski i dywidendy wzrosły o 24 proc. a rzeczywiste płace spadły o 3 proc. Te cyfry to ręka oskarżycielska wskazująca tych, którzy sprzedają Anglię amerykańskim kapitalistom. Jednocześnie z ogłoszeniem danych statystycznych opublikowano oficjalne zawiadomienie, że kryzys jest gorszy niż kiedykolwiek i marshallowska pomoc nie wystarczy do wyjścia z depresji w przyrzeczonym terminie, tzn. do roku 1952. Wobec czego udała się do Waszyngtonu nowa pielgrzymka. Ale dyktatorzy byli bezwzględni, a Bevin i Cripps nie mieli odwagi Adamsa i Jeffersona. Nawet wtedy nie było jeszcze za późno, żeby zerwać więzy niewoli, którymi spętano naród — dla dzielnych serc i silnych ramion nigdy nie jest za późno przeciwstawić się tyranii. Ale żadnego oporu nie stawiano. Bevin i Cripps kuleją wrócili do domu po waszyngtońskim upokorzeniu, aby oznajmić ludowi brytyjskiemu, że amerykańscy dyktatorzy finansowi nałożyli jeszcze większe obciążenia na standard życia angielskiego robotnika, że uczynili import brytyjski jeszcze kosztowniejszym, a eksport mniej dochodowym i zapewnili amerykańskiemu kapitałowi łatwość taniego kupna w Anglii i w imperium. I nazwali to — dewaluacją.

Nie docenia się w Anglii dostatecznie faktu, że od 1946 r. do 49 suma 806 milionów funtów szterlingów czyli więcej niż 70 proc. całego deficytu Wielkiej Brytanii była wydana na żołd dla wojsk stacjonujących za morzami — nie licząc wydatków związanych z okupacją wojskową terytoriów byłego nieprzyjaciela. Ten fakt elementarny nie jest nigdy poruszany w żadnej mowie poselskiej, w żadnej gazecie ani publikacji. A fakt ten oznacza; że gdyby rząd Partii Pracy odwołał do kraju tych półtora miliona ludzi, oszczędność w gotówce plus zwiększona siła produkcyjna kraju w połączeniu z polityką nieograniczonego rozwoju handlu z Europą Wschodnią i z imperium, zrównoważyłyby bilans bez przyjmowania żadnej marshallowskiej pomocy. Anglia wyłamałaby się spod pańszczyzny Wall Street, jak wyłamali się amerykańscy koloniści spod tyranii Jerzego III.

W 1948 roku 115 milionów funtów czyli 95 proc deficytu budżetu wydatkowano na wojska kolonialne. A tylko w pierwszej połowie r. 1949 wydatek ten wyniósł 112 milionów. Mówiąc po prostu, Anglią pożycza na wysoki procent od Ameryki po to, aby rządzić w koloniach, gdzie amerykańscy kapitaliści inwestują swoje pieniądze. W zamian — Anglia otrzymuje ograniczenia i restrykcje handlowe i występuje w charakterze pionka militarnego dla obrony króla Wall Street.

Wielka Brytania, której głos jest potrzebny w świecie postępu, znajduje się w więzach amerykańskiego kapitału; jej przedstawiciele dyplomatyczni i inni na konferencjach międzynarodowych są tylko posłusznym echem imperializmu amerykańskiego.

Każdy wie, jaka jest rada, jakie lekarstwo. Nawet reakcyjny „Sunday Observer“ widzi to wyraźnie, skoro 24 lipca r. 1949 pisał:

„Alternatywne źródła zakupów mogłaby zapewne Wielka Brytania znaleźć na rynku światowym — ale żeby je znaleźć, musielibyśmy szukać za żelazną kurtyną. Gdyby kryzys dolarowy był tylko problemem ekonomicznym. wówczas bez odwoływania się do wyższych potrzeb anglo-amerykańskiej jedności rozwiązanie go byłoby tylko sprawą rozdziału naszych dróg. Ale to musi pociągnąć za sobą katastrofę polityczną“.

Kuracja jest tu najwyraźniej przepisana. Ale jakaż to polityczna katastrofa, o której pisze „Observer“? Jaka jest cena owej anglo-amerykańskiej jedności? Amerykańska publikacja pt. „Podbój Anglii przez Amerykę“ daje odpowiedź. Jej autor, Ludwell Denny, pisze:

„Kiedyś byliśmy kolonią Wielkiej Brytanii. Przed końcem swego żywota Wielka Brytania będzie naszą kolonią: nie z nazwy, lecz w istocie rzeczy. Maszyny dały kiedyś Wielkiej Brytanii władzę nad światem — doskonalsze maszyny dadzą dziś Ameryce władzę nad Brytanią i światem.“

I znowu słowa Paine'a, napisane o rządach brytyjskich w Ameryce, nabierają świeżej aktualności w tej odwróconej sytuacji:

„Krzywdy i błędy, spowodowane tym związkiem, są nieprzeliczone: i obowiązek nasz zarówno wobec ludzkości jak wobec nas samych nakazuje nam odrzucenie tego związku.“

Przyszedł czas, gdy lud Wielkiej Brytanii będzie musiał odrzucić ten związek, będzie musiał powrócić do umowy brytyjsko - radzieckiej, do Jałty i Poczdamu; będzie musiał odmówić odgrywania roli światowego żandarma amerykańskich karteli, odmówić gnębienia ludów kolonialnych własnymi wojskami.

Historia dziś, to nie jest wyliczanie królów i dat. Historia współczesna jest kroniką wolności i świat oczekuje, że lud brytyjski, odwołując swoich żołnierzy, zwracając wolność ludom kolonialnym i nawiązując stosunki handlowe z postępowymi krajami świata, zajmie odpowiednie miejsce w kronice wolności i postępu XX wieku. Ostatecznym wynikiem będzie przyśpieszenie upadku imperializmu amerykańskiego, opartego na kapitaliźmie. Dzięki temu lud brytyjski nie tylko sam osiągnie wolność, ale przyniesie ją także tej olbrzymiej części amerykańskiego społeczeństwa, która miłuje pokój i postęp. Taka jest droga przed Wielką Brytanią, takie wyjście z domu niewoli; takiego wkładu do sprawy pokoju i postępu świat oczekuje od Wielkiej Brytanii.

George Bidwell

ZBIGNIEW FLORCZAK

GŁOWA ANIOŁA

Po otwarciu Wystawy Plastyki w Muzeum Narodowym, zaszła konieczność wyszkolenia grupy przewodników, którzyby potrafili objaśnić masowemu widzowi nową problematykę polskiej plastyki. Zebrano kilku młodych historyków sztuki, a mnie przypadła w udziale rola instruowania. Było to w sumie kilka pogadanek zasadniczych i szereg ćwiczeń na salach wystawowych. Póki chodziło o teorię, czułem dobry kontakt ze słuchaczami. Wydaje się, że umysł inteligenta jest dość elastyczny ideowo, to znaczy, nie wzdraga się przed żadną zasadą, byle ją podać dostatecznie po... inteligencku. Moi słuchacze, wychowani na postimpresjonistycznej estetyce, notowali przecież z pewną abstrakcyjną satysfakcją przesłanki realizmu socjalistycznego. Dopiero w obliczu obrazów i rzeźb coś się popsuło; wyłazło szydło z worka, to znaczy, obnażyła się nieporadność estetyczna tych wychowanków formalizmu, gdy trzeba było należycie ocenić któryś z eksponatów. I było to tym trudniej, że Wystawa nie przynosi dzieł wielkich „poziomowo", tylko grupuje dzieła wielkie jako objaw masowego przełomu. Moi słuchacze byli zdetonowani brakiem tego podstawowego dotychczas miernika oceny. Mogłem był w ciągu tego okresu obserwować z bliska i na gorąco konflikt nowego myślenia estetycznego ze starym.

Mówiąc o rzeźbie Wiśniewskiego „Granica pokoju", zauważyłem, że tkwi w niej naturalna symbolika.

Pierwszy kolega: Realizm socjalistyczny nie ma chyba nic wspólnego z symboliką.

Instruktor: Nie mam na myśli alegorii gadającej szeregiem umownych znaków. Tu jest symbolika naturalna, niejako mimowolna, wynikająca z mocnej natury dzieła. Proszę zauważyć, że tytuł „Granica pokoju" może być objaśniany dwojako: na pierwszym, dosłownym planie nasuwa się tłumaczenie, że dziewczyna chwyciła za karabin, by bronić granicy swojej ziemi. Na drugim, głębszym planie tytuł ten ulega raptownemu uogólnieniu ideowemu. Konkretna wizja dziewczyny z bronią w ręku jest zbudowana w sposób, który ukazuje niezmierne perspektywy wyobrażeniowe: to jest granica dóbr moralnych, strażnica pokoju. **Ów sposób** otworzenia perspektyw poprzez kształt konkretny i indywidualny, to najszlachetniejsza cecha sztuki realizmu socjalistycznego. Zwróćmy jeszcze uwagę na funkcję tytułu: nie jest doczepioną etykietką, jest ostatnim akcentem ekspresyjnej budowy dzieła, jakby tą przysłowiową kropką nad i.

Znajdujemy się przed obrazem W. Zakrzewskiego pt. „Towarzysz Bierut wśród robotników". Budzą się natychmiast wątpliwości.

Druga koleżanka: Czy można sięgać do tematu tak bezpośredniego? Czy sztuka, aby dać utwór dojrzały, nie powinna przestrzegać pewnego dystansu? Tutaj jakby chciała robić konkurencję obiektywowi filmowemu.

Instruktor: Wiem o co wam chodzi. O demonstracyjną, wprost dotykalną polityczność utworu Zakrzewskiego. Ale to dlatego was razi, że albo mieliście do czynienia z dziełami realizmu pokrytymi tzw. patyną czasu — albo, w ostatnim okresie, z dziełami formalizmu, które w ogóle nie podejmowały żadnego tematu. Czy zastanowiliście się, że „historyczny" w naszym mniemaniu obraz Valasqueza „Zdobycie Bredy" był opowieścią o wypadku współczesnym i politycznym? Tak samo obrazy Davida między 1808 o 1810 rokiem i barona Gros. Czy w ogóle istnieje dzieło realistyczne, które by nie mówiło tak czy inaczej o politycznej atmosferze epoki? Nie sądźmy, że dworskie damy na huśtawkach w płótnach Watteau gorzej mówią o współczesności niż dziś robi to Zakrzewski malując męża stanu w otoczeniu robotników na budowie. I tu i tam artysta chce swą wizję uczynić najistotniejszą, tylko że w czasach Watteau istotą rzeczy były perfumy i koronki, a w naszych — przodująca rola klasy robotniczej.

Mała sala na górze, przed nami obraz R. Siennickiego pt. „Lekcja rytmiki". Smukły chłopak wybija takt na fortepianie, obok kółko małych dziewcząt w kostiumach baletowych. Obraz uroczy, zwłaszcza dobry, charakterystyczny rysunek.

Instruktor: Nie pojęliście próby, którą uczynił w swoim obrazie Zakrzewski, bo bezideowość formalizmu oduczyła was patrzeć na dzieło sztuki jako na wyraz przeżyć społecznych artysty. W tym wypadku mamy do czynienia z zagadnieniem pozostającym ściśle w granicach formy i maniery.

Drugi kolega: Piękny obraz. Naiwność tych dziewcząteк, ich niezgrabne kolana, sztywne łokcie. I czuć w nim rytm, jakby idący z fortepianu.

Instruktor: Dobrze, te wrażenia czerpiemy z trafnie obrysowanego kształtu. Ale kolor nie jest do tego stosowny. Ten kolor — to wewnętrzna dywersja w obrazie.

Trzeci kolega: Odnoszę wrażenie, że realizm socjalistyczny chce zabić kolor.

Instruktor: Napewno nie. Chodzi o to, żeby kolor stał się znowu funkcją całości, a oduczył się kokieterii właściwej impresjonizmowi. Podczas gdy rysunek ma tu ambicję najwyraźniej charakterologiczne, kolor jest po pankiewiczowsku egzaltowany. Zachodzi jakiś anachronizm. Impresjoniści byli przynajmniej konsekwentni, uganiali się za plamą kolorową nie bacząc na granice rysunku i naturalnie pozbyli się wszelkiej humanistycznej treści. Siennicki chciałby i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek.

Takich obrazów na wystawie jest sporo. Często tego nie dostrzegacie, do tego stopnia nauczono was cenić kolor w oderwaniu od treści. Ale przyprowadźcie tu zwykłego widza: zapyta, czemu ta dziewczynka ma fioletowe skronie, zielone włosy, różowe oczy — i to winno być dla was normą.

Trzecia koleżanka: Przecież ten „zwykły widz" nie odróżnia najczęściej sztuki dobrej od złej — Gierymskiego od Styki. I on ma być normą?

Instruktor: Ale zawsze odróżni manierę techniczną od obiektywnego studium życia.

Przeszliśmy do ostatniej sali, gdzie okazją do dyskusji stały się „chłopskie" obrazy Krajewskiego. Moi słuchacze sprzeciwiali się narracyjnemu psychologizmowi i „literackości" (tak się dotąd mówiło) tych obrazów. Nauczeni na sławnym witkiewiczowskim „wszystko jedno co się maluje — głowę kapusty, czy głowę anioła", żądali, aby obraz krył i zsuwał w tył całą swą czytelną treść, nie chcieli uznać kompozycji, w której zjawisko społeczno-psychologiczne było jedyną pobudką jej powstania.

Pierwszy kolega: Nie wiem, w jakim stopniu sztuka może sobie pozwolić na gadulstwo. „Przodownica" Krajewskiego — to po prostu anegdota.

Instruktor: Wszystkie obrazy braciszka Angelica — to anegdoty. El Greco malował same anegdoty, to samo Courbet. Właściwie wszyscy przed Cézannem. „Trumna chłopska" Gierymskiego czy „Gra w mora" — to opowieści. Tylko zależy co opowiadać: przed Cézannem opowiadało się o sprawach ludzi, a po nim — o sprawach koloru i linii. Drodzy państwo — gdy chce wam się mocno jeść, co byście powiedzieli, gdyby kucharka zamiast obiadu przeczytała wam kilkanaście przepisów kulinarnych?

Bezideowość mieszczańskiej kultury, miałki smak jej ostatnich, zdziwaczałych produktów — doprowadził dziś do powszechnego głodu treści ludzkich. Realizm socjalistyczny w sztuce to wyraz tego głodu. Tak jak wyrazem schyłkowego czasu była połamana sztuka Légera czy Roualta.

Nie wycinajmy w duszy plastyka osobnego okienka z napisem „Sztuka". Plastyk jest człowiekiem całkowitym, je, śpi, ma rodzinę, służy w wojsku i w szeregach partyjnych. Jakże możemy żądać, żeby tylko okiem reagował na świat? Odwrotnie, musimy żądać, by **całość** jego istoty była zaangażowana w sztuce, a jego sztuka — w całości życia.

Zbigniew Florczak

Trzy spotkania

(Dokończenie ze str. 2)

ce nad płachtami gazet i wczytujące się w czarne linijki druku, który tańczył i układał się w różne esy floresy, szyderczo wykrzywione litery, jakieś figurki i wzorki, tworzące rozmaite napisy, jak na przykład: „to już koniec, to już śmierć, ratujcie się — wracajcie, wracajcie!!!" Równocześnie odczuwałem świdrujący ból w całym ciele, a właściwie nawet nie ciele, bo nic konkretnego mnie nie bolało.— To była nostalgia. Tęsknota za jedyną, swoistą, polską atmosferą. Uczucie jak gdyby dusza chora była na reumatyzm. — Kłuło coś, szarpało od wewnątrz. W dzień patrzałem na garstkę bankrutów, na naszych oficerów trajkocących stale o „wolności jednostek". W przerwach między gadaniem zgrywających się w karty, chlejących wódę z przesiąkniętymi niewybredną lubieżnością Niemkami. Oficerami zostali tacy jak „Krawat" — na pewno pamiętasz tego specjalistę od „mokrej", niebezpiecznej roboty. To, że w ostatniej chwili w 1944 roku wstąpił do organizacji „Todta" — nie było ważne. Widziałem tępe gęby dwójkarzy i nie dwójkarzy, studiujących stale w prasie wyniki wyborów w rozmaitych krajach. Ich uśmiechnięte, szczęśliwe twarze, gdy w jakimś okręgu we Włoszech, czy Francji, komuniści nie osiągnęli większości w wyborach, tak jak gdyby te drobnostki decydowały... Chwytali się tych wiadomości jak rozbitkowie resztek tonącego okrętu, łudząc się, że zażeglują na tych szczątkach do jakiegoś bezpiecznego portu. Wewnętrzną próżnię, która uciskała ich niczym „katzenjammer" po nieprzespanej, przepitej nocy, zapełniali mgławicą optymistycznych mrzonek, w które w gruncie rzeczy nikt nie wierzył. Doszli do tego, że zamiast pewnych nazw, czy określeń, używali jakichś dziwnych zastępczych słów — synonimów. Okrężnie obchodzili, przy pomocy szablonowego, stale takiego samego gadania, wszystkie te istotne zjawiska i przemiany jakie zachodziły „tam".

W połowie 1946 roku — chyba w lipcu, czy sierpniu — przyjechało do naszego obozu dwóch bubków z Londynu. Młodzi porucznicy, podobno jeden z nich był w czasie okupacji w A. K. Wzięli wielu z nas na prywatne rozmowy w osobnym pokoju. Zadawali masę rozmaitych pytań w rodzaju: „dokąd zamierzamy wyjechać jeśli sytuacja się nie zmieni" — Uważasz: — jeśli sytuacja się nie zmieni. Gorliwie zapisywali coś w siedmiu czy ośmiu kartotekach. Imiona rodziców, zawód, wykształcenie, specjalne zainteresowania, znów zamiary na przyszłość i tym podobne historie. Potem długo mówili o doskonałych warunkach w brytyjskich kopalniach węgla. Zaznaczali, że wcale nie namawiają, bo przecież każdy zrobi jak sam uzna za stosowne, ale właściwie to najlepsze wyjście — przynajmniej na razie. Nie uzasadniali. Wyglądało tak, jak gdyby gdzieś w zaświatach zapadł tajemny wyrok i oni — „wtajemniczeni", wszystko najlepiej wiedzący, otrzymali o tym mechanicznym procesie informacje z pierwszego, najbardziej wiarygodnego źródła.

„Hrabia" nabrał tchu, po czym zaproponował:

— Chodź, przejdźmy się trochę.

Poszliśmy w stronę lśniącego szklistą bielą kafli, tunelu. Turkot samochodów odbijał się mocnym echem od kamiennego sklepienia. Za lekko łukowatym wylotem połyskiwała świeża, jędrna zieleń. W górze wyrastał rząd rokokowych kamieniczek — niczym drogie, wspaniałe zabawki.

— W parę tygodni po tej wizycie — ciągnął dalej — urządziliśmy pożegnanie kilkunastu amatorom górnictwa. Wyjeżdżali do Anglii. Przyszły jakieś dziewczęta, była muzyka i tańce. Paru z nas miało recytować wiersze. Niektórzy odczytywali własne, okolicznościowe utwory. Pełno było w nich smutku, nostalgii i tego charakterystycznego dla emigracji abstrakcyjnego oderwania od życia. Ja zdolności twórczych nie miałem. Nie wiem dlaczego, wytrajkotałem „Hymn o zachodzie słońca" Słowackiego:

„....że nie wiem, gdzie się w mogiłę
położę —
Smutno mi Boże...."

Po paru minutach wezwano mnie do pokoju komendanta obozu.

— Ha, to innych wierszy już nie ma, tylko takie, co? — Defetyzm — krzyczał — tu ludzie wyjeżdżają, a pan ich właściwie nawołuje do powrotu do kraju. — To pan napisał? — Przecież to rozkład ideowy.

— Miałem dość. To nie był — wierzajcie mi — powód bezpośredni. W parę dni później zgłosiłem się do polskiego konsulatu. Opowiedziałem o wszystkim; o NSZ-ecie, moich powojennych sprawkach, wreszcie o ucieczce z więzienia.

Dużo mówiło się wtedy o przytowywanej amnestii — postanowiłem wrócić. Odesłano mnie transportem repatriantów i w połowie grudnia 1946 r. byłem w Szczecinie. Przyjechałem do Warszawy.

— Trudno mi o tym okresie mówić.... Powiem: że wreszcie dobiłem do portu, że nareszcie wszedłem na właściwe tory. — To oczywiste, ale boję się, że ty — właśnie ty — możesz przeprowadzić jakąś linię, która być może zagrzyta ciężkim, przytłaczającym dźwiękiem — obawiam się, że dźwiękiem fałszywym...

Przerwał.

— Tak... właśnie fałszywym dźwiękiem — uśmiechnął się blado, nie patrząc na mnie.

— A jeśli tak sądzę, czy dziwiłoby cię to? — zapytałem, odszukując spojrzeniem jego uciekające w bok źrenice.

Być może, twoje zwierzenia są szczere, ale my, tysiące takich jak ja, którym wy dawaliście lekcje faszyzmu — o przeszłości zapomnieć nie mogą.... Wyciągają z niej wnioski... Muszą uczyć się na doświadczeniach, aby — zgodzisz się chyba ze mną — wyłączać z naszego społeczeństwa takich jak — na moment przystanęliśmy — jak „Hrabia" do roku 1946...

— Tak, masz rację, to nie była metoda — rzekł „Hrabia". — Powinniście nas byli wtedy rozstrzeliwać. To nie była metoda, przekonałem się.

Na przystanku u wylotu Miodowej zatrzymaliśmy się. Na wprost nas odcinała się kamiennym rysunkiem pochylona królewska kolumna. Kilka gołębi krążyło nad nią koliście, znikając za moment gdzieś za konturami Starego Miasta.

— A teraz jestem już na trzecim roku — powiedział cicho. — Podał mi wilgotną dłoń, aby w chwilę potem zjechać podziemnymi ruchomymi schodami.

*

W trzy tygodnie po tym spotkaniu przeczytałem w komunikacie prasowym co następuje:

„W związku z wykryciem amerykańskiej sieci szpiegowskiej, aresztowany został przez Władze Bezpieczeństwa m. in. 24 letni student Politechniki, Andrzej Siemiński (pseud. „Hrabia").

... Sądzę jednak, że był szczery potępiając swoją przeszłość — bandy i emigrację; istotnie przecież zmienił metodę.

KONIEC

Jerzy Korczak.

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Koncert artystów radzieckich

W ubiegłym tygodniu zamiast normalnego koncertu piątkowego odbył się w Filharmonii Warszawskiej w środę 3 bm. wielki koncert symfoniczny z udziałem wybitnych artystów radzieckich przebywających obecnie na gościnnych występach w Polsce.W programie znalazły się oprócz arii operowych trzy koncerty solowe z towarzyszeniem orkiestry: koncert skrzypcowy *Dymitra Kabalewskiego,* koncert na głos i orkiestrę symfoniczną *Reinholda Gliera* oraz koncert fortepianowy *Arama Chaczaturiana.* Te trzy dzieła współczesnych kompozytorów radzieckich były w ciągu bieżącego sezonu koncertowego wykonane na estradzie Filharmonii i omawiane przy tej okazji szczegółowo („Kuźnica" Nr. 1 z 8 stycznia br. i Nr. 9 z 5 marca br.).

Młody laureat konkursów w Pradze i Budapeszcie *Igor Bezrodnyj* wykazał w koncercie Kabalewskiego walory dobrego skrzypka: mocne podstawy techniczne i ładny ton. Utwór Kabalewskiego zdradza wyraźną tendencję odwrotu od nadmiernego patosu i koturnowości epoki neoromantycznej. Wnosi muzykę prostą, pogodną, wyrastającą z duchu klasycyzmu, iskrzącą się humorem i zręcznością rzemiosła kompozytorskiego Po tej linii poszła Grażyna Bacewiczówna, pierwsza wykonawczyni tego koncertu w Warszawie w grudniu ubiegłego roku. Bezrodnyj natomiast ulirycznił utwór Kabalewskiego, nadał mu zbytniej — naszym zdaniem — powagi, ujął temperamentu i błyskotliwości, zbliżył raczej do stylu muzyki Czajkowskiego. Niemniej przeto nie można nie przyznać, że interpretacja radzieckiego skrzypka była świadoma i konsekwentna, druga zaś część koncertu (Andantino cantabile) zyskała dzięki temu na szlachetności i poezji.

Arię z opery „Chowańszczyzna" *Modesta Mussorgskiego* i z opery „Samson i Dalila" *Kamila Saint-Saensa* usłyszeliśmy w wykonaniu *Weroniki Borysenko* (mezzo-sopran), laureatki Nagrody Stalinowskiej, solistki Teatru Wielkiego w Moskwie. U śpiewaczki tej podziwialiśmy wspaniały materiał głosowy, jednocześnie pełny, donośny i miękki. Na żądanie publiczności artystka wykonała na bis popularną Habanerę z „Carmen" Bizeta.

Laureat Nagrody Stalinowskiej, artysta ludowy ZSRR *Iwan Patorżyński* (bas) odznacza się dużą rozpiętością głosu z ładnie brzmiącą dolną częścią skali i średnicą oraz ogromną kulturą i ekspresją wykonawczą. Zasłużony ten artysta odśpiewał arię z opery „Eugeniusz Oniegin" *Piotra Czajkowskiego.*

W drugiej części wieczoru — koncert na głos i orkiestrę Gliera wykonała *Nadieżda Kazancewa,* artystka ludowa RSFRR, odznaczona Nagrodą Stalinowską. Dwuczęściowy koncert Gliera stawia śpiewaczkę wobec najwyższych trudności. W pierwszej części (Andante) wymaga bezbłędnej emisji, obszernej skali dynamicznej, dużej kultury i muzykalności dla oddania lirycznego nastroju tej muzyki. Druga część natomiast (Allegro) najeżona jest karkołomnymi partiami koloraturowymi, tym trudniejszymi, że wykonuje się je w bardzo szybkim tempie. Wszystkie te trudności Nadieżda Kazancewa potrafiła pokonać z całkowitą swobodą, dając prawdziwy popis kunsztu wokalnego.

Jako ostatni wystąpił zasłużony artysta RSFRR, laureat Nagrody Stalinowskiej *Lew Oborin,* znany dobrze publiczności polskiej i jako pianista, i jako członek Międzynarodowego Jury ostatniego Konkursu Chopinowskiego. Koncert fortepianowy Chaczaturiana w wykonaniu Oborina odznaczał się wirtuozowskim blaskiem i dynamicznym rozmachem. Artysta uwydatnił ponadto właściwy temu kompozytorowi liryzm i poetycki nastrój, dając w końcowym efekcie interpretację niezwykle przemyślaną w szczegółach, bogatą i plastyczną.

Orkiestra Filharmonii Warszawskiej akompaniowała w koncertach i ariach operowych na ogół czysto i dyskretnie. Kapelmistrz *Mieczysław Mierzejewski* z właściwą sobie muzykalnością potrafił w precyzyjny sposób współpracować z solistami.

Radzieccy goście bisowali wielokrotnie odwdzięczając się warszawskiej publiczności za nadzwyczaj gorące przyjęcie.

Wawrzyniec Żuławski

TYDZIEŃ KULTURALNY

TYDZIEŃ OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

Z okazji Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy otwarto w Warszawie kilka wystaw okolicznościowych.

Wystawa pod nazwą „Walka o postępową oświatę w Polsce" urządzona w Bibliotece Publicznej wykazuje klasowy charakter przemian w rozwoju oświaty oraz obrazuje jej rozkwit w Polsce Ludowej.

Centralna Wystawa oświatowa w Pałacu pod Blachą daje ogólny przegląd naszego dorobku w dziedzinie oświaty i kultury oraz zapoznaje z planem 6-letnim w zakresie oświaty.

Wystawa „Prasa w walce o pokój" jest świadectwem doniosłej roli prasy postępowej, obrazuje bohaterską historię rewolucyjnej prasy polskiej i rozwój prasy w Polsce Ludowej. W Bibliotece Uniwersyteckiej zorganizowana została interesująca wystawa pod nazwą „Nauka w walce o pokój". W wielu szkołach zorganizowano wystawy książki m. in. w szkole podstawowej Nr 115 na wystawie urządzonej staraniem pracowników Biblioteki Narodowej, urządzono pokaz kilku „białych kruków" np. egzemplarza „Wizerunku człowieka poczciwego" z r. 1560, wydania „Trenów" Jana Kochanowskiego z 1610 r. oraz pierwszych wydań dzieł Staszica, Kołłątaja i innych.

W całym kraju otwarto parę tysięcy wystaw związanych z „Tygodniem Oświaty, Książki i Prasy".

DZIEŃ PRASY RADZIECKIEJ

W Dniu Prasy Radzieckiej, obchodzonym w związku z 38 rocznicą założenia „Prawdy" w kilku zakładach pracy w stolicy odbyły się zebrania z udziałem literatów i publicystów poświęcone uczczeniu tej rocznicy.

OGROMNE ZAINTERESOWANIE KSIĄŻKĄ NA M. T. P.

Na Międzynarodowych Targach Poznańskich „Dom Książki" zorganizował własne punkty sprzedaży w postaci księgarni i 11 kiosków. Księgarnia i kioski zostały zaopatrzone w duży asortyment książek polskich i radzieckich z przeróżnych dziedzin, poczynając od literatury polityczno-społecznej, poprzez książki popularno-naukowe, techniczne, a kończąc na beletrystyce i książkach dla dzieci i młodzieży.

Obroty ze sprzedaży do dn. 4 maja przekroczyły 4 miliony zł, tj. osiągnęły kwotę przewidywaną na cały czas trwania Targów.

Największym zainteresowaniem cieszą się Kalendarz Robotniczy, „Pan Tadeusz" w nowym luksusowym wydaniu i Słownik rosyjsko-polski. Z książek radzieckich największe powodzenie mają książki o treści technicznej i polityczno-społecznej.

WYSTAWA REPRODUKCJI WSPÓŁCZESNEGO MALARSTWA RADZIECKIEGO

W Muzeum Narodowym otwarta została wystawa reprodukcji malarstwa radzieckiego, zorganizowana przez Biuro Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

Wystawa zawiera ok. 60 plansz z reprodukcjami najcenniejszych dzieł współczesnego malarstwa radzieckiego.

Po zamknięciu wystawy w Muzeum Narodowym, wystawa zostanie przekazana Centralnemu Biuru Wystaw Artystycznych, które ją skieruje w teren.

wbs.

PIW

BOGUSZEWSKA HELENA
ŻELAZNA KURTYNA
Wyd. II
str. 267 zł. 450.—

BOK JÓZEF
NA URALU
Wyd. III
(Pamiętnik robotnika z pobytu w ZSRR)
str. 133 zł. 200.—

DĄBROWSKA MARIA
ZNAKI ŻYCIA
Wyd. nowe
str. 154 zł. 180.—

BOROWSKI TADEUSZ
OPOWIADANIA Z KSIĄŻEK I Z GAZET
str. 152 zł. 240

DOBROWOLSKI ST. RYSZARD
NOTATNIK WARSZAWSKI
Opowiadania i wiersze
str. 155 zł. 220.—

GOJAWICZYŃSKA POLA
POWSZEDNI DZIEŃ
Opowiadania. Wyd. nowe
str. 173 zł. 200.—

JACKIEWICZ ALEKSANDER
GÓRNICY
Powieść
str. 188 zł. 280.—

JASZUŃSKI GRZEGORZ
SZKICE AMERYKAŃSKIE
Reportaże
str. 225 zł. 280

KOWALSKA ANNA
ULICZKA KLASZTORNA
Powieść
str. 161 zł. 260.—

KOWALSKI WŁADYSŁAW
W GRZMIĄCEJ
Powieść. Wyd. nowe
str. 338 zł. 370.—

KUBACKI WACŁAW
KRZYK JARZĘBINY
Utwór dramatyczny
str. 110 zł. 350.—

PASTERNAK LEON
STROFY GNIEWU
Wiersze
str. 98 zł. 200.—

RUDNICKI LUCJAN
STARE I NOWE
Powieść. Wyd. V
str. 288 zł. 150.—

RUSINEK MICHAŁ
Z BARYKADY W DOLINĘ GŁODU
Nowele. Wyd. nowe
str. 196 zł. 300.—

TUWIM JULIAN
ANTOLOGIA POLSKIEJ NOWELI FANTASTYCZNEJ
Z ilustracjami J. M. Szancera
str. 315 zł. 750.—

ŻYWULSKA KRYSTYNA
PRZEŻYŁAM OŚWIĘCIM
Wyd. II
str. 301 zł. 340.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

mała kronika

Bardzo mi się nie spodobał wierszyk o analfabetach w ostatnim „Przekroju". Wierszyk niedługi ma sens jeszcze krótszy: analfabeta z Krety zamiast Tety czytał Ro; „a dziś jeśli Ro ktoś czyta (Rozmaitości z „Przekroju"), to historia jest niezbita, że litery wszystkie poznał już". Mia mamma! chciało by się zawołać z grecka wraz z zachwyconym autorem.

Zmartwiłem się: więc po to robić kursy dla analfabetów, aby umieli odcyfrować podobne bzdury? Ładną strawę duchową szykujemy dla nich! Trochę mi wstyd przed sołtysem Teodorem Dudką z pewnej podkrakowskiej wsi. Zgłosił się on pierwszy na kurs dla analfabetów, chociaż umiał dobrze czytać i pisać. Ale przykładem pociągnął innych, którzy się krępowali. I wstyd mi przed nauczycielką Marią Żurek spod Myślenic. Ją też wyróżniono w akcji zwalczania analfabetyzmu. Przepracowała prawie trzysta godzin dobrowolnie na kursie. Prócz dwustu godzin obowiązkowych. Marzenia ich nie sięgały tak wysoko, aby ich uczniowie tłumaczyli z grecka: mia mamma! Natomiast każdy absolwent kursu z łatwością odczyta proste zdanie: „Niech żyje walka o trwały pokój!" I zrozumie jego sens. Niedawno małorolna gospodyni ze wsi Maków, Józefa Zatorska, napisała pierwszy w życiu list. Opowiadała w nim o swym nielekkim życiu, o trudnych pięciu miesiącach nauki na kursie i dziękuje nauczycielom, „że może w każdej chwili poczytać książkę". Pół miliona ludzi pisze teraz w Polsce swoje pierwsze listy i sięga po pierwsze książki. Czy będą one tak piękne jak zwykłe zdanie: „Niech żyje pokój?"

Nowi czytelnicy! Zamierzałem właściwie napisać dla was tylko jedno zdanie: żądajcie zakazu broni atomowej! Ostrzeżcie swym podpisem podpalaczy wojennych, że rząd, który pierwszy użyje broni atomowej, będzie potępiony przez ludzkość jako zbrodniarz! Podpisujcie apel Sztokholmskiej Konferencji Obrońców Pokoju! To wasze wielkie zwycięstwo w walce o pokój, że możecie się pod tym wezwaniem podpisać nie krzyżykami, lecz pełnym imieniem i nazwiskiem. I z pełną świadomością polityczną. Jak portowcy z Brestu, gospodynie z Marsylii, metalowcy Ruhry, tragarze Hamburga, farmerzy ze stanu Ohio, bezrolni z Modeny! Poświęcają oni swą pracę, swój dom, swoją wolność dla pokoju; idą do więzień, bici są pałkami, głodzeni i szantażowani. Ale nikt nie uwięzi całego narodu i całej ludzkości. Masowy ruch pokoju jest niezmożony jak przypływ, uświadamia masy o ich niezwyciężonej sile. Tak jak w zabawnej karykaturze z francuskiej „Action". Obrońca pokoju wymalował na murze hasło: „Niech żyje pokój!" Policjant go wyśledził z za rogu i wyciągnąwszy pałkę gumową, rzucił się za nim w pogoń naokoło domu. Zgiełk pościgu zgromadził tłum innych obrońców pokoju, którzy pogonili policjanta. Zgubiwszy pałkę, służalec wojny uciekł w popłochu. Karykatura rodzi się z rzeczywistości. Ta rzeczywistość — to przerwane kordony policji, broń gnijąca na dnie morza, widmowe okręty z czołgami, od których stronią robotnicy jak od zarazy. Zaraza ta niesie śmierć. W Bresćie policja strzelała do robotników, którzy nie chcieli wyładowywać okrętów. Do Grecji sprowadza się krzesła elektryczne, aby zabijać zwolenników pokoju. Na Malaje wysyła się eskadry myśliwców, aby paliły bezbronne wioski. W Niemczech werbują byłych SS-Mannów do służby żandarmskiej w koloniach. W Berlinie codziennie dziesiątki chłopców i dziewcząt idą do więzień amerykańskich za malowanie na murach domów napisów: „Niech żyje pokój!" Amerykanie twierdzą, że napisy te niepokoją ludność. Straszą mianowicie burżuazję niemiecką, która spodziewa się obłowić na trzeciej wojnie. Mobilizują głodne masy bezrobotnych, które chcą pracy a nie zniszczenia i śmierci. Tak prosta umiejętność czytania i pisania staje się postrachem imperialistów.

Podpisujcie apel sztokholmski! Żądajcie zakazu broni atomowej! Uznamy za zbrodniczy ten rząd, który pierwszy użyje bomby atomowej! Patrzą na nas z radością i zazdrością narody krajów kolonialnych, wzorują się na nas warstwy pracujące krajów kapitalistycznych. Nasza szybka odbudowa, nasz rozmach i energia jest dla nich otuchą i zachętą. Ileż razy słyszałem od przyjaciół z za jedwabnej kurtyny kapitalizmu: „Jacy wy jesteście szczęśliwi, że macie własne państwo. Możecie swobodnie budować podstawy socjalizmu, nie dławicie się w ucisku imperializmu. Jak dużo pracy nas jeszcze czeka, aby wam dorównać! O ileż wam łatwiej niż nam!"

Łatwiej, ale i trudniej. Pewnie, naszemu pisarzowi łatwiej jest machnąć trzy kreski swego nazwiska pod apelem niż cierpliwie pisać artykuły i wygłaszać prelekcje o pokoju, rzucając do walki cały swój autorytet i swoje siły. Sątyryk prędzej skreśli na rysunku literki nazwiska i cyferkę roku niż drapieżną i chciwą łapę Achesona. Biurokrata chętniej podpisze jeszcze jeden papierek niż usprawni „tryb urzędowania". Po uroczystości podpisu, po wielkim wzruszeniu przychodzi u nas zwykły dzień, kiedy trzeba pracować dla pokoju.

Podpisujcie dobrze apel sztokholmski! Dobrze podpisali go robotnicy w Czynie Pierwszomajowym, którzy zaoszczędzili państwu miliardy złotych. Dobrze podpisali go chłopi ze spółdzielni produkcyjnych, wykonując plan zasiewów wiosennych. Dobrze podpisał go na wpół sparaliżowany szewc Stanisław Opyrchał, absolwent kursu dla analfabetów w Kalwarii Zebrzydowskiej, i Stefan Gadomski, kierownik szkoły pod Ostrołęką, i Ludwika Jakubowska spod Białegostoku, która osiągnęła pełną frekwencję na kursie i setki tysięcy, miliony innych nauczycieli, robotników, chłopów...

Żądamy zakazu broni atomowej! Rząd, który jej pierwszy użyje, osądzimy jako zbrodniarza wojennego! Podajmy dłoń walczącym narodom krajów kolonialnych i kapitalistycznych! Podpiszmy apel sztokholmski!

A potem podpisujmy go każdego dnia.

Tadeusz Borowski.

Komentarze

Tajemnica rozszyfrowana

Do
Ob. r.m.
autora notatki pt.
„Co się dzieje z Majakowskim".
„Nowa Kultura" nr 4.

Po przeczytaniu Waszych uwag na temat „Wierszy i poematów" Majakowskiego, których brak na rynku warszawskim, po-

stanowiłem kupić dla Was ich egzemplarz w Łodzi. W tutejszych księgarniach jest on od dwóch miesięcy.

Natomiast nie mogę do tej pory zdobyć dwutomowego wydania dzieł Lenina, które ponoć w Warszawie można nabyć z łatwością.

Obywatelu!

I ja nie wiem, „kto winien".

Ale mając w Was współtowarzysza niedoli, wierzę, że zadośćuczynicie mojej prośbie i prześlecie wzamian dwutomowe wydanie Lenina.

Różnicę kosztów pokryjemy przy następnych tranzakcjach.

K. G.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Obywatelu K. G.

Chętnie przystałbym na Waszą propozycję, ale co powie Dom Książki Polskiej, Ministerstwo Poczt i Telegrafów, jeśli rzecz ta stanie się precedensem? Bardzo nie chciałbym przeciążenia pracą drugiej z tych instytucji.

r. m.

Akademia nicości

W Niemieckiej Republice Demokratycznej została kreowana „Niemiecka Akademia Sztuki" skupiająca najwybitniejszych pisarzy i artystów, znanych daleko poza granicami Niemiec. Prezydentem Akademii został Arnold Zweig, a jej członkami tacy pisarze, jak J. R. Becher, B. Brecht, A. Seghers, H. Marchwitza, E. Weinert i inni. Pisarze Niemiec Zachodnich wzięli na ambit i postanowili utworzyć konkurencyjną „Akademię", która powstała w Stuttgarcie. Jej prezydentem został wybrany Rudolf Pechel, wiceprezydentem — Frank Thiess. Nazwisk członków „Akademii" nie będziemy wymieniali, gdyż są one — podobnie jak nazwiska już przytoczone — nic nie znaczącym dźwiękiem dla znawcy literatury niemieckiej. Rudolf Pechel napisał kilka książek, które nie mają nic wspólnego z literaturą. Pierwszą jego pracą, wydaną przed 25 laty, była książka „Francuska polityka nad Renem w świetle amerykańskim". Od owego czasu nic się nie zmieniło, Pechel pisze nadal w świetle amerykańskim. Stosunek Franka Thiessa do literatury wyraził się w następującym zdaniu: „Pisarstwo jest samobójczym zawodem — twierdził Thiess w 1949 roku — radzę przeto młodym idealistom - poetom odrzucić pióro i zaangażować się w warsztatach samochodowych". Do prezydium tej akademii nicości należy również Aleksander von Bernus, autor dwóch dzieł: „Książki kucharskiej prababki" (1936) i „Urządzenia domowego prababki" (1937).

W czasie inauguracji Akademii w Niemieckiej Republice Demokratycznej transparent umieszczony przed gmachem Opery głosił hasło Tolstoja: „Sztuka jest ko-

niecznością życia". Wiceprezes zamerykanizowanej „Akademii" uważa pisarstwo za „zawód samobójców". Dwa światy — dwie akademie.

kst.

Przeniesiony prima aprilis

W dniu 28.IV zmieniono w Warszawie numery niektórych telefonów. Zadzwoniłem do biura numerów, prosząc o podanie nowego telefonu hotelu „Bristol". Otrzymałem odpowiedź: 7-22-60. Zadzwoniłem pod wskazany numer parokrotnie — nikt nie odpowiadał. Połączyłem się ponownie z biurem numerów. Założywszy, że mogłem źle usłyszeć spytałem ponownie o numer hotelu.

8—55—60 do 8—55—67 — usłyszałem w odpowiedzi.

Zdziwiony zlekka uzyskaniem tak różnej i wykluczającej słuchową pomyłkę informacji nakręciłem kolejno kilka podanych numerów. Ponieważ interes, jaki miałem do osoby przebywającej w Bristolu, był

dość pilny, wsiadłem w autobus i pojechałem. W portierni podano mi numer hotelu: 7-55-60 do 75.

Po powrocie skonstatowałem, że tym razem nie wprowadzono mnie w błąd. Informacja portierni była dokładna. Działo się to wszystko w niedzielę, 30 kwietnia. Czyżby warszawskie Biuro Numerów przeniosło „prima aprilis" na ostatni dzień miesiąca?

r. m.

Balzak w Kanadzie

Niedawno donieśliśmy w jednym z naszych „komentarzy" o skandalu, jaki wybuchł w Kanadzie w związku z obchodem stulecia śmierci Balzaka. Dziś możemy podać szczegóły tej sprawy. Są one bardzo interesujące i nie wymagają komentarzy. Związek Pisarzy kanadyjskich zamierzał uczcić stulecie zgonu autora „Komedii ludzkiej" dwoma odczytami i wystawą, przeciwko czemu zaoponował kanadyjski „Komitet Biskupi Akcji Katolickiej". Odnośny list prezydium „Akcji Katolickiej" brzmiał następująco:

Do
Pana Bruhesi
Prezydenta Związku Pisarzy
Kanadyjskich

Wielce szanowny Panie Prezydencie!

Biskupi Komitet Akcji Katolickiej został poinformowany, że Związek Pisarzy Kanadyjskich zamierza wespół z poselstwem francuskim uczcić stulecie śmierci Balzaka wystawą jego dzieł.

Wiadomo Panu, że dzieła tego pisarza znajdują się na indeksie; dlatego uważamy planowane przez Panów uroczystości

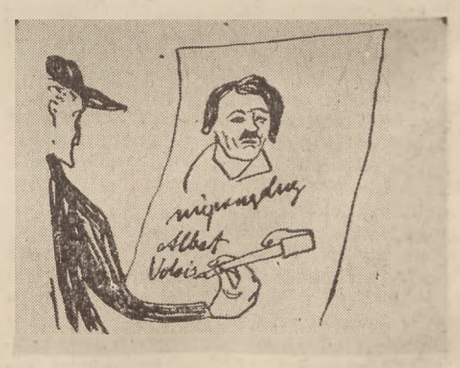

za wyzwanie rzucone katolickiej opinii publicznej Montrealu. Istnieje moc porządnych pisarzy, których stulecie śmierci nie zostało uczczone.

Nie możemy zrozumieć, dlaczego wydaje się Panom tak ważną rzeczą uczcić właśnie Honoriusza Balzaka. Zawiadamiamy Pana, że jeżeli Panowie nie zrezygnują z tego planu, będziemy zmuszeni publicznie zaprotestować.

Z szacunkiem
za Prezydium Akcji Katolickiej
Albert Valois.
rk.

Zastanawiające zbieżności

W Nr. 17 „Dziś i Jutro" zamieszczono prozę poetycką Antoniego Podsiada, w której czytamy m. in.

„Jak dobrze słuchać serenady pasikonika. Już myślałem, że nie ma wolnego śpiewu. Jak dobrze w lesie zbierać poziomki. Już myślałem, że nie ma lasu".

Tymczasem wiersz T. Różewicza z tomu „Czerwona rękawiczka" p. t. „Jak dobrze" — brzmi:

„Jak dobrze! Mogę zbierać
jagody w lesie
myślałem
nie ma lasu i jagód
Jak dobrze. Mogę leżeć
w cieniu drzewa" itd.

Dalej u A. Podsiada czytamy:

„Dachau koników polnych,
Gehenna mszyc.
Mrowisko — Oświęcim".

Drukowany kiedyś w „Nowinach Literackich" wiersz Czesława Miłosza p. t. „Przyrodzie pogróżka" zawierał zwrot:

„Naturo! Politycznie jesteś
podejrzana
Dachau koników polnych! Mrówek
Oświęcimiu
Próżno zbrodnie maskujesz zieloną
peruką".

grz.

Lektura dla bogobojnych mieszczan

W wielki piątek znalazłem się w Zurychu. Dla bogobojnych, protestanckich mieszczan niemieckiej Szwajcarii jest to najbardziej uroczysty dzień w roku — dzień skupienia i kontemplacji. Miasto rzeczywiście było wymarłe. Funkcjonowały jedynie automaty z papierosami i jeden jedyny kiosk gazetowy na dworcu kolejowym. W kiosku — z nieznanych mi przyczyn — można było dostać wyłącznie tygodnik „Weltwoche" — „niezależny — jak głosił podtytuł — szwajcarski przegląd tygodnia". Kupiłem go, aby się dowiedzieć, co czytają w święta wielkanocne szwajcarscy mieszczanie. Oto, co znalazłem:

Na stronie tytułowej były dwa artykuły. Pierwszy głosił, że najtrudniejszym problemem Europy od dziesiątków lat jest przeludnienie. Autor, ukrywający się pod literkami K. v. S. (v. wyglądało jak skrót od von), twierdził, że przeludnienie to było przyczyną międzywojennych dyktatur, które poszukiwać musiały Lebensraumu dla duszących się narodów. Rozpaczając, że w wyniku ostatniej wojny sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu (w Niemczech zwłaszcza, gdzie „żyje 15 milionów uchodźców ze Wschodu"), Herr K. v.(on) S. zalecał „zaludnienie nadwyżką ludności europejskiej pustych krajów zamorskich". (Czy nie słyszeliśmy już tego przed laty od Duce i Führera?).

Drugi artykuł tytułowej strony „Weltwoche" był gloryfikacją Stefana Bandery i jego „bojowników ukraińskiego ruchu oporu", znanych nam bliżej faszystów spod znaku UPA, między innymi oprawców gett w tzw. General Gouvernement, prosperujących obecnie w amerykańskiej strefie Niemiec. Według „Weltwoche" bandyci z UPA to „zakon bojowników o wolność", godny chwili uwagi nawet w wielki piątek.

Strona druga „niezależnego szwajcarskiego przeglądu tygodniowego" poświęcona była innemu „bojownikowi o wolność", generałowi von Falkenhausenowi, który jak wiadomo — w latach 1940—44 był hitlerowskim komisarzem wojskowym w Belgii. Von Falkenhausen — skarży się swym czytelnikom „Weltwoche" — od pięciu lat bez sądu (o zgrozo!) przebywa w brukselskim więzieniu. Czyż na tym polegać ma zachodnia, chrześcijańska cywilizacja? Domagając się szybkiej rehabilitacji „wzoru niemieckiego oficera", który dożył 82 lat — „Weltwoche" takimi słowy wyciska łzy z oczu swych czytelników: „Generał von Falkenhausen stoi w obliczu śmierci. Bezprawie i ludzka brutalność nie są już w stanie go dotknąć ani zranić. Od dawna jest on już poza wszelkimi ludzkimi oskarżeniami i oczy jego zwrócone są w inny, lepszy świat. Ale my, których zadaniem jest budowa lepszego świata doczesnego, musimy zapytać siebie samych, jak będzie to możliwe, jeżeli fundamentem naszego świata nie uczynimy sprawiedliwości i uczuć ludzkich?" Wzruszające, prawda? Zwłaszcza w wielki piątek.

Dla utrzymania należytego nastroju, strona trzecia i czwarta wzniosłego magazynu poświęcona była rzymskim uroczystościom wielkiego tygodnia w Świętym Roku. Reportaż opatrzony był w fotografie pielgrzymów z Via Appia, procesji biskupów wokół Bazyliki św. Piotra oraz wielkotygodniowego obrządku obmywania stóp pielgrzymów. Strona następna dla wytchnienia to odcinek angielskiego romansu kryminalnego, w którym role główne grają detektyw Mr. Whisky i dwaj policjanci. Po romansie kryminalnym następowała kolumna poświęcona „wiedzy i filozofii" z artykułem o frapującym tytule: „Zwycięstwo fizyki nad materializmem".

Artykuł w bliższej lekturze okazał się opracowaniem książki francuskiego irracjonalisty, ucznia faszysty Carrela, Mr. Lecomte de Nouy, p. t. „Ludzkie przeznaczenie". Rodzynka „Weltwoche" schowana była na zakończenie. Był nią ósmy kolejny odcinek książki brytyjskiego generała Desmonda Younga pt. „Rommel — żołnierz i gentleman". Oczywista chodziło o feldmarszałka Rommela, „bohatera kampanii afrykańskiej". Apologią feldmarszałka ekscytują się obecnie nie tylko zurychscy mieszczanie, ale także mieszczaństwo Londynu i Paryża, nie mówiąc o wychowankach Rommela w zachodnich Niemczech. W Londynie jest to największy sukces wydawniczy od lat (sprzedano 130 tysięcy egzemplarzy w ciągu dwóch tygodni).

Piękna, wielkopiątkowa lektura dla bogobojnych mieszczan szwajcarskich: ukraińscy faszyści Bandery, Herr General von Falkenhausen, Święty Rok w Rzymie, romans kryminalny, zwycięstwo fizyki nad materializmem i gentleman Feldmarschall Rommel. Nie wierzącym podaję dokładniejsze informacje bibliograficzne: „Die Weltwoche, unabhängige schweizerische Umschau, 18 Jahrgang, nr. 856, Zürich, den 6 April 1950".

Nie ma jednak, jak prawdziwa cywilizacja zachodnia.

ego.

Imperialistyczna farmaceutyka

Środek niezawodny: truje powoli, ale skutecznie

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-100730